

PISZĄ I OPOWIADAJĄ DLA NAS:

- **Prof. Ewa Marciniak** o tym, dlaczego nie chcemy rozmawiać o polityce z bliskimi i kolegami z pracy
- **Paulina Mikuła** o wielkiej reformie ortografii, która zacznie obowiązywać od 2026 r.

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682



magazyn **POLSKA**
Puls METROPOLIA WARSZAWSKA

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl



TB/JULIA DEMAREE NIKHSON/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Piątek–niedziela, 28–30.11.2025 • Nr 95 (2502) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

s. 18
Przeprowadzka
kardynała Rysia
z Łodzi do Krakowa.
Zmiany w Kościele?

s. 22
Piotr Domalewski
o nieuczciwym
świecie w filmie
„Ministranci”

s.4-7
Tak zwany plan pokojowy Trumpa napisano na Kremlu.
Na zakończenie działań wojennych nie ma co liczyć
Pseudopokojowy pseudoplan

W poniedziałek magazyn

● Suplementy diety mogą szkodzić.
A niekktórzy z nas łykają nawet
dwadzieścia pigułek dziennie.
To jak uzależnienie

Tomasz Rusek
publicysta



RAPORT KONTRA RZECZYWISTOŚĆ

Jedna z firm opublikowała niedawno wyniki tego-
rocznego badania 200 najpopularniejszych haseł
na świecie. Okazało się, że w Polsce najpopularniej-
sze zabezpieczenie to „admin”, a na drugim miej-
scu jest „123456”. Chciałem o tym zrobić ciekawy mate-
riał z przestrożą, ale gdy dodzwoniłem się do znajomego
specja od komputerów, po wysłuchaniu, z czym dzwo-
nię, powiedział: - A pomyśl, Tomku, gdzie w istotnych
profilach i w używanych przez ciebie aplikacjach, mo-
żesz ustawić takie proste hasła? Podaj mi choć jeden
przykład.

No i... nie potrafiłem. Mój bank, mObywatel, aplikacja
ZUS-u, IKP czy nawet Allegro takiego banału by nie przy-
jęły. Duże litery, małe, znaki specjalne, długość mini-
mum kilkanaście znaków, do tego zakaz powtarzania
choćby części poprzednich haseł...

No nie ma bata. „Admin” czy „12345” nigdzie by
u mnie nie przeszły. Nawet gdybym chciał (bo naprawdę
wkurza mnie już wymyślanie potworków w stylu „Bi-
twaPodCedynią972!” czy „JajJarBinks*1991” czy nawet
„WymyśliłemHasło1357”).

I tak kolejny raz ogólnopolski raport rozjechał się
z moją rzeczywistością. Ale może Wy gdzieś macie po-
ustawiane takie proste hasła? Macie? To zmieńcie je jak
najszybciej. Tak na wszelki wypadek.

CHMURY NAD VON DER LEYEN. GDZIE W TEJ UKŁADANCE JEST TUSK?

Globalnej dyskusji
o planie pokojo-
wym dla Ukrainy
przyglądałem się ze
Strasburga. W europarlamen-
cie trwała o nim debata
z udziałem Ursuli von der
Leyen. Przewodnicząca Kom-
sji Europejskiej przypomniła
po raz kolejny, że UE nie pozo-
stawi Ukrainy samej sobie,
podkreślając konieczność do-
prowadzenia do „sprawiedli-
wego i trwałego pokoju”.

Od tych słów ciekawsze
jednak były komentarze. Do-
minowało zniechęcenie.
„Znowu to samo” - można
było usłyszeć w kulisach PE
po wystąpieniu von der
Leyen. Bo faktem jest, że w jej
słowach nie pojawił się żaden
nowy wątek. Tym bardziej nie
słychać było pomysłów, które
by coś wносиły do dyskusji
o planie pokojowym. Tylko
rytualne frazy, kilka razy
wcześniej wygłoszone dekla-
racje. Zabrakło choć kropli no-
wej przyprawy, żadna nowa
nutta zapachowa się w jej wy-
stąpieniu nie pojawiła. Naga,
niczym nie przysłonięta, eu-
rorutyna.

Agaton Koziński
zastępca redaktora naczelnego



To wyczuwalnie zniecier-
pliwienie nie dotyczy tylko tej
jednej sesji. Generalnie coraz
trudniej znaleźć polityków,
gotowych stać murem za sze-
fową Komisji. Tylko tej jesieni
były dwa wnioski o jej odwo-
łanie: jeden złożony przez le-
wicę, drugi przez prawicę.
Także w jej macierzystej for-
macji - Europejskiej Partii Lu-
dowej - front zwolenników
coraz szybciej topnieje. „To
coraz bardziej wygląda jak
mecz CDU kontra reszta
świata” - słyszę przy okazji
rozmów o umowie UE-Mercosur.
Ale też ton, jakim to zda-
nie zostało wygłoszone, jasno
wskazywał, że lista zastrzeżeń
jest dłuższa.

Sprawa na narzekaniu się
nie kończy. W ślad za nim po-
jawiają się pomysły. Oczywiście,
odwołanie von der Leyen
nie wchodzi w grę, duży gracz

w PE przyznaliby się w ten
sposób do swojej porażki. Ale
pojawiała się inna opcja.
W 2027 r. kończy się ostatnia
kadencja Franka-Waltera Ste-
inmeiera w roli prezydenta
Niemiec. A co gdyby jego na-
stępca została obecna szefowa
KE? Salomonowe rozwiązanie
pozwalające wszystkim zain-
teresowanym rozpocząć nowe
rozdzianie.

Naturalnym następcą von
der Leyen mogła by być Ro-
berta Metsola. Jest z tej samej
rodziny politycznej, zdobyła
dużo doświadczenia, pełniąc
przez dwie kadencje funkcję
przewodniczącej Parlamentu
Europejskiego. Ale jej piętą
achillesową jest fakt, że poza
pracą w PE nigdy nie pełniła
żadnej ważnej roli - dlatego
bardziej prawdopodobne jest,
że będzie walczyć o to, by zo-
stać na czele parlamentu

na trzecią kadencję. Natomiast
ewentualnym następcą von
der Leyen zostanie polityk
obyty na najwyższym szcze-
blu. Mógłby to być Emmanuel
Macron, który w 2027 r. skoń-
czy drugą prezydencką kaden-
cję we Francji. To zawodnik
wagi ciężkiej, choć ze słabym
zapleczem politycznym.

W 2027 r. odbędą się także
wybory w Polsce. Gdy czyta
się CV Donalda Tuska, to
do funkcji kierownika Komisji
Europejskiej nadaje się on
idealnie - zarówno
pod względem doświadcze-
nia zawodowego, jak i wagi
stojącej za nim rodziny poli-
tycznej. Jedyny argument
przeciwko jego przepro-
wadzce do Brukseli brzmi na-
stępująco: wtedy zabraknie
go w polskiej polityce.

Ważąc opcje dzisiaj, taki
ruch wydaje się nieprawdopo-
dobny. Ale decyzje będą zapa-
dały najwcześniej (jeśli
w ogóle) za dwa lata. Wtedy
wszyscy z tyłu głowy będą
mieć wspomnienie roku 2014,
gdy przeprowadzka Tuska
do Brukseli też wydawała się
nieprawdopodobna.

0011440758

Z głębokim żalem pożegnaliśmy

Naszego Kolegę

**Piotra
Butlewskiego**

Bliskim

składamy wyrazy współczucia.

Koleżanki i koledzy

z Polska Press

POLITYKA TO JEST WIELKI TEATR

Przyzwyczailiśmy się,
że doniesienia ze
świata polityki przy-
pominają relacje
z ringu bokserkiego albo za-
paśniczej maty. Dlatego rela-
cja ze spotkania w Gabinetie
Owalnym musiała być dla
wielu osób prawdziwym szo-
kiem. Oto prezydent Donald
Trump przyjął w serdecznej
atmosferze Zohrana Mamda-
niego, który wygrał niedawno
wybory na burmistrza No-
wego Jorku. Obaj wypowia-
dali się o sobie z kurtuazją, bo
„najważniejszy jest interes
mieszkańców miasta”. Kiedy
dziennikarze zapytali prezy-
denta, czy nadal uważa Mamda-
niego za „komunistę”, ten
tylko się uśmiechnął i określił
gościa jako „racjonalną
osobę”. Potem Mamdaniemu
przypomniano, że określał

Janusz Michalczyk
publicysta



Trumpa mianem „faszysty”.
Zohran próbował uników
i wtedy prezydent wsparł go
w żartobliwy sposób, dając
do zrozumienia, że kampania
wyborcza rządzi się swoimi
prawami. Krótko mówiąc,
otrzymaliśmy piękną lekcję,
z której płynie wniosek, że po-
lityka jest wielkim teatrem.

Pamiętam, z jakim niedo-
wierzaniem opinia publiczna
przyjmowała u nas ponad 30
lat temu wieści o tym, że poli-
tycy prawicy i lewicy, którzy
z sejmowej mównicy rzucali
na siebie gromy, po zakończe-

niu obrad potrafili spędzać ra-
zem miło czas przy wódeczce.
Ba, do dziś niektórzy nie po-
trafią się pogodzić z faktem, że
w 1989 roku w dopięciu usta-
leń czynionych przy Okrą-
głym Stole między ekipą gen.
Wojciecha Jaruzelskiego i Soli-
darnością bardzo pomogły
spotkania w luźnej atmosferze
w Magdalence. Powiecie, że
teraz nasza rzeczywistość wy-
gląda zupełnie inaczej? No to
przypomnę obrazki sprzed
dwóch miesięcy w Nowego
Jorku, gdzie w dobrej komity-
wie w siedzibie ONZ gawędzili

prezydent Karol Nawrocki
i minister Radosław Sikorski.

Oczywiście, wszystko to
nie znaczy, że politycy zawsze
cynicznie odgrywają dramaty
przed publicznością. Czy per-
fidnie oszukują swoich zwo-
lenników, gdy rzucają wiel-
kimi słowami i kreują kon-
flikty? Wcale tak nie sędzę.
Należy rozumieć, że prowa-
dzą grę o władzę i muszą być
skuteczni. W tym celu po-
winni opanować sztukę
wzbudzania określonych
emocji u wyborców. Ktoś pro-
stoduszny i łatwowierny, być
może idealista, nie przyjmie
do wiadomości, że nasza rze-
czywistość nie jest czarno-
biała, ale wtedy będzie roz-
dział z dziwnością, oglądając
filmiki i zdjęcia
w rodzaju tych z Gabinetu
Owalnego lub ONZ.

Z czego jutro ...? NIE NADUŻYWAJ IMIENIA GOSPODARKI NADAREMNO

Jedną z końcoworocznych świeckich tradycji w Polsce ludowej była chrońnicznie powtarzająca się sytuacja z zaskoczeniem przez zimę drogowców, która w Polsce demokratycznej została utrzymana oraz wzbogacona o nową jaką jest zaskakiwanie w tym okresie przedsiębiorców niekorzystnymi zmianami w podatkach. Nagłówki w mediach ekonomicznych im poświęcone jak ten z 22 bm. w Pulsie Biznesu „Groźne dla firm zmiany podatkowe nie wejdą od 2026 r. Zatrzyma je kalendarz albo prezydent” nie pozostawiają wątpliwości co do kontynuacji kursu kolizyjnego z gospodarką przyjętego jeszcze w tzw. polskim ładzie, który jest nie tylko kontynuowany ale co do negatywnego oddziaływania na sferę wytwórczą rozszerzany. Zaskakujące w tej sytuacji jest tak uporczywe przypisywanie sobie przez politycznych decydentów sukcesu polskiej gospodarki i nadużywanie jej imienia nadaremno przy równoczesnym pogarszaniu możliwości jej funkcjonowania. Efekty decyzji tzw. politycznych wobec przedsiębiorców są mierzalne chociażby w spadku pozycji Polski w tegorocznym Indeksie Wolności

Andrzej Sadowski

Centrum. im. Adama Smitha



Gospodarczej Instytutu Frasera czy w Międzynarodowym Indeksie Konkurencyjności Podatkowej Tax Foundation.

Przedsiębiorczość i przedsiębiorcy są traktowani jako niezniszczalne i niewyczerpalne źródło eksploatacji przez rządy niczym złoża węgla obliczane na set lat, a powinni mieć w Polsce status pierwiastków ziem rzadkich. Zanim dostęp do grupy 17 pierwiastków stał się strategiczny i krytyczny, bowiem bez nich nie byłoby rewolucji cyfrowej oraz budowania swoich przewag konkurencyjnych lub utrzymywanie pozycji hegemonu to Chiny rozpoczęły powrót do pozycji światowego lidera pierwotnie od uwolnienia pracy i przedsiębiorczości. Sukces gospodarczy Chin, który przekłada się na konkurencyjność USA pozycję polityczną w świecie w tworzeniu bloków państw wokół siebie ma podobnie jak w Polsce roku 1988 źródło w przywróceniu wolności gospodarczej. Uwol-

niona praca i przedsiębiorczość są najważniejszym „zasobem”, który decyduje o sile narodowej gospodarki, a w konsekwencji i samego państwa. Jednak zanim Chiny wprowadziły swój Foreign Direct Product Rule dotyczący 17 metali, czyli Regułę Bezpośredniego Produktu Zagranicznego, która jest jednym z najpotężniejszych narzędzi amerykańskiego prawa eksportowego pozwalająca rządowi USA kontrolować i blokować eksport, to budowały swoją beزالternatywną dla tzw. świata zachodniego niezastępowalną pozycję mając do dyspozycji tylko pracę i przedsiębiorczość swoich obywateli.

Po wprowadzeniu restrykcji eksportowych okazało się, że bez metali ziem rzadkich nie ma myśliwców F-35, okrętów podwodnych klasy Virginia, pocisków Tomahawk, dronów Predator, czy systemów radarowych. Nie ma również iPhone'ów, laptopów, elektryków, które potrzebują 80 kg ich

na samochód, turbin wiatrowych, paneli słonecznych, tomografów, satelitów i wielu innych części składowych do budowy i funkcjonowania dzisiejszej cywilizacji. Chiny kontrolują ok. 60-70 proc. światowego wydobycia pierwiastków ziem rzadkich i ok. 85-90 proc. ich przetwórstwa w sytuacji, gdzie USA z Chin importuje ich 70 proc., a Unia Europejska jeszcze więcej.

Dźwignią Chin w relacjach gospodarczych ze światem Zachodu nie jest już tylko praca, która w wyniku obrania przez niego kursu na socjalne państwo urzędowego dobrobytu przestała być opłacalna dla istniejącego w nim przemysłu, a stały się nimi ograniczone na naszej planecie zasoby oraz konkurencyjniejsza AI do amerykańskiej. Niemniej fundamentem cały czas powiększania przewag konkurencyjnych Chin zwłaszcza wobec państw Unii jest praca i przedsiębiorczość, która niezależnie od wyznawanej religii oraz ustroju politycznego jest rozstrzygająca.

Dyskryminacja najważniejszego w Polsce źródła dobrostanu społecznego i rozwoju gospodarczego jakim jest bezapelacyjnie praca i przedsiębior-

czość jest skutkiem głębokiego defektu spetryfikowanego systemu politycznego i konstytucyjnego, który nie buduje swojej siły z możliwego dwucyfrowego rozwoju gospodarczego tylko produkuje niezmiennie przepisy ograniczające jego tempo.

Wszystkie zasoby, nie tylko pierwiastki ziem rzadkie, są ograniczone wraz z czasem nam danym po chwilowej dekonstrukcji imperium zła, który przechodziła Rosja Sowiecka na przełomie lat 80 i 90 wieku XX. Rozpraszanie najważniejszego z posiadanych zasobów jakim jest polska praca i przedsiębiorczość jest w sytuacji kumulacji kolejnych i nowych zagrożeń tym, czym decyzja rządu wojskowej junty we wrześniu 1939 po zaatakowaniu Polski przez Niemcy. Jest to niewyobrażalne, ale w rozporządzeniu z dnia 1 września poz. 565 dziennika ustaw nr 88 „w sprawie wyrobu broni, amunicji, materiałów wybuchowych oraz innych narzędzi i substancji, mogących służyć do napaści i obrony” zakazuje się osobom i przedsiębiorcom prywatnym wyrobu wszelkiej broni palnej, amunicji, materiałów wybuchowych.

Działanie i strategia państwa polskiego powinna wynikać z zapewnienia najlepszych warunków dla pracy i przedsiębiorczości oraz uznania ich jako najważniejszego zasobu strategicznego, który w czasach pokoju buduje społeczny dobrostan i zapewnia konkurencyjny wobec innych państw rozwój gospodarczy, a w czasie zagrożenia wojną jest podstawowym źródłem wytwarzania uzbrojenia na potrzeby obrony społeczeństwa. Jeżeli Armia Nowego Typu proponowana przez Strategię&Future jako odpowiedź na geograficzne i strategiczne uwarunkowania Polski oraz na rewolucję w zakresie sposobów walki poprzez stworzenie systemu obronnego, który jest tani w masowej skali, trudny do wykrycia i niezwykle śmiercionośny, to Centrum im. Adama Smitha od dekad udowadnia i ma rozwiązania, że nie ma obronności bez uprzedniego zakończenia dyskryminacji polskiej pracy i przedsiębiorczości.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im.

Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

MATERIAL INFORMACYJNY ORLEN

0011430041

Wodór napędza zmianę

Transformacja energetyczna przyspiesza, a wodór staje się jednym z kluczowych elementów globalnej strategii ograniczania emisji CO₂. Podczas jubileuszowej, 10. edycji Open Eyes Economy Summit w Krakowie ekspertki ORLENU opowiedziały o rosnącej roli tego pierwiastka. Dyskusja pokazała, że wodór przestaje być futurystyczną wizją - to realne narzędzie transformacji, wdrażane już dziś.

Dlaczego świat stawia na wodór?

Jednym z głównych tematów tegorocznego OEES była transformacja energetyczna – nie tylko w wymiarze technologicznym, ale także gospodarczym, społecznym i biznesowym. Wątek wodoru pojawiał się w dyskusjach wielokrotnie, bo choć sam pierwiastek nie jest niczym nowym, jego potencjał został w ostatnich latach odkryty na nowo.

Wodór, najpowszechniejszy pierwiastek we wszechświecie, ma wyjątkowo wysoką wartość energetyczną. Podczas panelu ekspertki przypominały, że z jednego kilograma wodoru można uzyskać ponad trzykrotnie więcej energii niż z kilograma benzyny. Jego efektywność jest również wyższa niż w przypadku metanu, węgla czy biomasy. A do tego spalanie wodoru nie generuje szkodliwych substancji, takich jak dwutlenek węgla, tlenki siarki czy azotu, lecz wyłącznie parę wodną i wodę.

Technologie ORLENU: od tradycyjnego przemysłu po nowoczesną energetykę

ORLEN wykorzystuje wodór od wielu lat, między innymi w rafinerii do produkcji paliw konwencjonalnych i w przemyśle nawozowym. Obecnie firma koncentruje się jednak na ograniczaniu emisji z własnych zakładów przemysłowych, modernizacji instalacji oraz zwiększeniu udziału technologii niskoemisyjnych.

– Stawiamy na technologie elektrolizy wody, z której otrzymujemy wodór zeroemisyjny, odnawialny. Mamy też w portfolio inne technologie niskoemisyjne, jak np. przetwarzanie odpadów komunalnych, w których również jest dużo wodoru. Dzięki technologii zgazowania ten wodór możemy odzyskać – mówiła podczas panelu Dominika Niewierska, dyrektorka biura koordynacji i wsparcia biopaliw i wodoru.

Ekspertka zwracała uwagę, że choć wodór ma



ogromny potencjał, branża odchodzi już od narracji przedstawiającej go jako „świętego Graala”. Realne podejście polega na analizie, gdzie wodór faktycznie przynosi największą wartość: w przemyśle chemicznym, rafineryjnym czy transporcie.

W tym ostatnim obszarze ORLEN rozwija sieć stacji tankowania wodoru. Zasilają one flotę zeroemisyjnych autobusów w Poznaniu, Katowicach oraz Wałbrzychu. Kraków wkrótce dołączy do grona miast posiadających taką infrastrukturę.

Edukacja, praktyka i wizje przyszłości - Akademia Wodorowa ORLEN

Szybki rozwój sektora wodorowego wymaga nowych kompetencji. To właśnie brak kadr stał się impulsem do powołania Akademii Wodorowej ORLEN – programu łączącego wiedzę teoretyczną z praktycznymi zajęciami, wizytami w zakładach przemysłowych oraz kontaktami z ekspertami branżowymi. Do tej pory odbyły się trzy edycje programu.

– Akademia Wodorowa dała mi naprawdę bardzo

dużą możliwość rozwoju, zarówno w teorii, jak i w praktyce. Mielismy możliwość odwiedzenia wielu różnych firm i uczestniczenia w wykładach na Politechnice Krakowskiej. Zobaczyliśmy zakłady produkcyjne – instalacje w Płocku czy Anwil będący jednym z największych producentów nawozów azotowych – mówiła Julia Karweta, uczestniczka drugiej edycji Akademii Wodorowej, która obecnie pracuje w zespole koordynacji projektów biopaliwowych w ORLENIE.

Polska na wodorowej mapie świata - potencjał większy, niż się wydaje

Mało kto zdaje sobie sprawę, że Polska jest jednym z największych producentów wodoru na świecie – głównie dzięki rozwiniętemu przemysłowi chemicznemu. Choć dotąd był to wodór szary, dziś podejmowane są działania zmierzające do jego dekarbonizacji.

ORLEN, dzięki zapleczu technologicznemu, know-how i wieloletniemu doświadczeniu ma ambicję stać się jednym z liderów europejskiej transformacji wodorowej. Inwestycje w elektrolizery, rozwój infrastruktury, współpraca międzynarodowa oraz programy edukacyjne stanowią fundament, na którym może powstać silny, konkurencyjny sektor.

Panel podczas OEES pokazał jedno – wodór jest już realnie obecny w polskiej energetyce, przemyśle i transporcie. To technologia, która łączy dekarbonizację z modernizacją gospodarki i tworzeniem nowych miejsc pracy.

Polska, dzięki działaniom ORLENU, ma szansę nie tylko nadać za europejską transformacją, ale odgrywać w niej ważną rolę. Wodór staje się jednym z filarów tej zmiany, a Akademia Wodorowa – sposobem na to, by nie zabrakło specjalistów, którzy tę przyszłość zbudują.

TRUMPA POMYSŁ NA POKÓJ. HISTORIA NIESŁAWNEGO PLANU

To miał być plan, który przyniesie pokój w Ukrainie, ale tak naprawdę oznaczał jej kapitulację. Pisany bez Ukraińców i bez konsultacji z przywódcami Unii Europejskiej, dokument wywołał międzynarodowy skandal – włącznie z oskarżeniami Stanów Zjednoczonych o zdradę interesów Ukrainy. Pytanie, kto pisał „pokojoy plan Trumpa”? Nie ma wątpliwości: Kreml

Dorota Kowalska, Grzegorz Kuczyński

Gdyby sprawa nie była poważna, można by pomyśleć, że to kolejne fake newsy wysyłane prosto z Kremļa. W każdym razie im więcej wiadomo o kulisach związanych z „planem pokojowym Donalda Trumpa”, tym więcej można mieć zastrzeżeń do profesjonalizmu amerykańskiej administracji. Bo to dokument, który wielu ekspertów nazwało planem kapitulacji Ukrainy, ale jak inaczej nazwać zapisy, z których wynika, że Krym, Ługańsk i Donieck mają zostać uznane za terytoria rosyjskie, Kijów zobowiązuje się do nieprzystępowania do NATO, ogranicza liczebności armii, uznaje rosyjski za jeden z języków urzędowych, a brak zachodnich wojsk stanowiących gwarancję bezpieczeństwa miałyby Ukraińcom rekompensować stacjonujące w Polsce myśliwce należące do państw europejskich.

Szczegóły 28-punktowego planu wyciekły w zeszły czwartek i tego samego dnia prezydent Donald Trump potwierdził, że Ukraina ma czas do czwartku na przyjęcie amerykańskiej propozycji zakończenia wojny.

– Miałem wiele deadline’ów, ale jeśli sprawy idą dobrze, przedłuża się deadline’y. Ale to czwartek. Myślimy, że to odpowiedni czas – powiedział Trump.

Świat przecierał oczy ze zdumienia. Oślawiony już plan, niby pokojowy, nawet wśród Republikanów wzbudzał kontrowersje. O tym, że zawiera dobre pomysły, ale wiele jego elementów jest „bardzo problematycznych”, pisał chociażby republikański senator Lindsey Graham, blisko współpracujący z Trumpem.

„Porozumienie pokojowe musi zakończyć wojnę w sposób honorowy i sprawiedliwy, a nie tworzyć nowy konflikt” – ostrzegał. Z kolei były republikański szef Senatu Mitch McConnell porównał dokument do chaotycznego wycofania wojsk USA z Afganistanu w 2021 roku za prezydentury Joe Bidena, za tę decyzję Trump zresztą wielokrotnie krytykował swojego poprzednika.

O amerykańskiej propozycji rozpiswały się światowe media. „Der Spiegel” stwierdził, że „już teraz można dostrzec, jak Trump i jego ludzie pogubili się strategicznie”. Za przykład podał „osobliwe negocjacje”, prowadzone poza standardową dyplomatyczną procedurą, między wysłannikiem prezydenta USA Steve’em Witkoffem a wysłannikiem przywódcy Rosji Kirillem Dmitrijewem.

Obecnie, jak pisał niemiecki tygodnik, w Waszyngtonie „kilku głównych aktorów spiera się na amerykańskim stanowisku dotyczącym wojny w Ukrainie”.

Do pierwszego obozu „Der Spiegel” przypisał wiceprezydenta USA J.D. Vance’a, który wraz z Witkoffem opowiada się za szybkim porozumieniem pokojowym na korzyść Rosji. Za „fantazję” uważa on scenariusz, w którym Ukraina mogłaby zwyciężyć dzięki większej ilości pieniędzy, broni i dalszym sankcjom.

Po drugiej stronie stoi sekretarz stanu Marco Rubio, który w przeszłości wypowiadał się krytycznie o Rosji i wykazywał większe zrozumienie dla Ukrainy. Na forum ONZ ostrzegał we wrześniu, odnosząc się do Rosji,

że musi ona ponieść cenę za kontynuowanie wojny.

„A ponad wszystkimi góruje prezydent Donald Trump ze swoimi szybko zmieniającymi się nastrojami i celem zdobycia Pokojowej Nagrody Nobla” – zauważył tygodnik.

Sytuację nazwał „zagałwaną”, dodając, że amerykański prezydent „może obserwować, gdzie w jego własnym obozie pojawia się wyraźny sprzeciw”.

„Czy doszło lub dochodzi do otwartego konfliktu między specjalnym wysłannikiem Trumpa Witkoffem a sekretarzem stanu? Czy rząd USA stoi czy nie stoi za kontrowersyjnym planem pokojowym?” – pytał retorycznie „Der Spiegel”.

Może reakcja świata, także Unii Europejskiej, sprawiły, że Trump zmienił retorykę. W niedzielę pytany przez dziennikarzy, czy jego plan jest „ostateczną ofertą dla Ukrainy”, stwierdził, że „zdecydowanie nie”.

– Chcemy pokoju. Powinno to nastąpić już dawno temu – stwierdził prezydent Stanów Zjednoczonych.

Dodał, że „wojna Ukrainy z Rosją nigdy nie powinna była się wydarzyć”. I powtórzył to, co powtarza często, że do pełnoskalowego ataku Rosji na Ukrainę by nie doszło, gdyby to on był wtedy prezydentem.

– Próbowaliśmy to zakończyć, w taki, lub inny sposób. Musimy to zakończyć – powiedział na koniec.

Naprawić kiepskie

Próby naprawy tego, co stworzyła amerykańska dyplomacja razem z tą kremlowską, ruszyły niemal natychmiast. W niedzielę w Genewie w Szwajcarii odbyły

się rozmowy na temat projektu, który ma zakończyć wojnę Rosji z Ukrainą. Brali w nich udział doradcy do spraw bezpieczeństwa z państw tworzących nieformalną grupę E3 – Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec z przedstawicielami Ukrainy, Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej.

Sekretarz stanu USA Marco Rubio i szef gabinetu prezydenta Ukrainy Andrij Jermak wyszli na koniec rozmów, by wygłosić krótkie oświadczenie dla mediów.

– To, jak do tej pory, najbardziej produktywnie i znaczące spotkanie w całym tym procesie, myślę, że poczyniliśmy znaczne postępy – powiedział Rubio.

– Wprowadzamy pewne zmiany (w dotychczasowym planie – red.), korekty, mając nadzieję na zmniejszenie naszych różnic i zbliżenie się do czegoś, co będzie bardzo akceptowalne zarówno dla Ukrainy, jak i dla Stanów Zjednoczonych – mówił dalej.

Jak dodał, ostateczny plan pokojowy musi zostać zaakceptowany przez prezydentów, lecz jest pewny, że do tego dojdzie. Rubio wyraził też nadzieję, że zaakceptuje go Rosja.

– Myślimy, że w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy zdobyliśmy dość istotne informacje na temat niektórych kwestii, które są dla nich (Rosjan) naprawdę ważne – dodał.

Jermak też brzmiał optymistycznie.

– Dokonałiśmy bardzo dużego postępu i zmierzamy ku sprawiedliwemu i trwałemu pokojowi, na jaki zasługuje naród ukraiński i jakiego pragnie bardziej niż ktokolwiek inny na tej planecie – podkreślił. Zapowiedział dalsze rozmowy z Amery-

kanami i państwami europejskimi w nadchodzących dniach.

Tyle tylko, że pięć dni po tych rozmowach nadal nie wiadomo nic na temat ostatecznych ustaleń. Główny wynik spotkania w Genewie to, według „Financial Times”, skrócenie amerykańskiej listy z 28 punktów „planu pokojowego” do 18. Dziennikarze Bloomberg ustalili, że na liście nie ma już punktu dotyczącego przekazania 100 mld dolarów z zamrożonych w Europie rosyjskich rezerw do funduszu odbudowy Ukrainy zarządzanego przez Stany Zjednoczone.

Decyzja ta ucieszyła europejskich urzędników, którzy poinformowali o tym Bloomberg, ale trudno nazwać rezygnację z tego punktu ustępstwem wobec Ukrainy. Świadczy to raczej o chęci uproszczenia dokumentu w celu ułatwienia jego uzgodnienia i promowania. Wszystkie punkty dotyczące rosyjskich rezerw wymagają zgody UE, której kraje do tej pory nie były w stanie uzgodnić między sobą wykorzystania rosyjskich aktywów.

Jak pisał we wtorek kijowski korespondent dziennika „Financial Times” Christopher Miller, powołując się na wysokich rangą urzędników z otoczenia ukraińskiego prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, Ukraina zgodziła się też na ograniczenie liczebności swoich sił zbrojnych w czasie pokoju do 800 tys. żołnierzy.

Politico doniosło z kolei, że klauzula dotycząca przekazania Donbasu pod kontrolę rosyjską została zmieniona, podobnie jak „inne drażliwe kwestie dotyczące terytorium Ukrainy”.

Pierwszy wiceminister spraw zagranicznych Ukrainy Serhij Ki-

slica powiedział „FT”, że w nowym projekcie planu pokojowego „prawie nic nie pozostało” z pierwotnego dokumentu i szczegółowo opisał przebieg negocjacji: na początku wszystko „wisało na włosku”, ponieważ Amerykanie byli bardzo niezadowoleni z ujawnienia propozycji Białego Domu w mediach i wynikającej z tego dyskusji na temat potencjalnego „rosyjskiego śladu” w pochodzeniu planu. Jednak Ukraińcom stopniowo udało się rozładować napięcie.

Serhij Kislica stwierdził też, że najbardziej delikatne punkty planu będą musiały zostać rozstrzygnięte osobiście przez prezydentów. Mowa tu głównie o kwestiach terytorialnych i o nieprzystąpieniu Ukrainy do NATO.

Późnym wieczorem w poniedziałek sam Wołodymyr Zełenski potwierdził, że zamierza omówić „delikatne kwestie” z Trumpem, ale nie powiedział nic o tym, kiedy może dojść do ich spotkania. Ponoć otoczenie Zełenskiego odradza mu wyjazd do Waszyngtonu, bojąc się powtórek z lutowego spotkania w Gabinetie Ovalnym. Zwłaszcza, że Trump przebywa w Mar-a-Lago na Florydzie, gdzie spędza Święto Dziękczynienia.

Biały Dom też nie ujawnia zbyt wielu szczegółów. Rzeczniczka Trumpa, Caroline Levitt, powiedziała jedynie, że spotkanie nie zostało jeszcze zaplanowane, ale po rozmowach w Genewie pozostało już tylko kilka spornych punktów.

Tyle tylko, że Siergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej już zasygnalizował, że Rosja odrzuci zmodyfikowany plan pokojowy, jeśli nie





FOT. PAP/PEPA

W niedzielę w Genewie w Szwajcarii odbyły się rozmowy na temat projektu, który ma zakończyć wojnę Rosji z Ukrainą. Delegacjom szefowali sekretarz stanu USA Marco Rubio i szef gabinetu prezydenta Ukrainy Andrij Jermak

wzięmie on pod uwagę od dawna wysuwanych przez nią żądań.

Ławrow stwierdził, że jeśli plan „wymazuje (...) kluczowe ustalenia”, które przywódca Rosji Władimir Putin uważał za osiągnięte podczas sierpniowego spotkania z Trumpem w Anchorage na Alasce, to „sytuacja ulegnie zasadniczej zmianie”.

- Po Anchorage, gdy wydawało nam się, że ustalenia te zostały już sformalizowane, nastąpiła długa przerwa. Teraz przerwa ta została zerwana przez wprowadzenie tego dokumentu (...). Cała seria kwestii wymaga oczywiście wyjaśnienia - powiedział Ławrow, dodając, że oficjalnie nic Rosji nie zostało jeszcze przedstawione.

Jak przypomniał „FT”, na Alasce Donald Trump powiedział, że USA są gotowe uznać rosyjską aneksję Krymu z 2014 roku i skłonić Ukrainę do wycofania się z niektórych pozycji na linii frontu w Donbasie pod warunkiem, że Rosja zaprzestanie dalszych walk. Putin stwierdził wówczas, że porozumienie nie będzie możliwe, jeśli nie uwzględni „głównych przyczyn” konfliktu, a te według niego to zmiany reżimu w Kijowie, zakończenia ekspansji NATO i dostaw broni z Zachodu dla Ukrainy.

Kulisy planu

Tymczasem portal Axios - ten sam, który jako pierwszy ujawnił fakt istnienia 28-punktowego planu dla Ukrainy - opublikował szczegółową historię powstawania „planu Witkoffa-Dmitrijewa”, znanego również jako „plan Trumpa”.

Pod koniec października Steve Witkoff i zięć Trumpa Jared Kushner, którzy odegrali wiodącą rolę w osiągnięciu porozumienia o zawieszeniu broni w Strefie Gazy, zaczęli omawiać możliwości podobnego porozumienia dla Ukrainy.

Następnie Kushner i Witkoff, uzyskując poparcie Trumpa, dwukrotnie spotkali się ze specjalnym przedstawicielem Władimira Putina Kiryłem Dmitrijewem i na podstawie rozmów

z nim sporządzili pierwszy szkic planu. Wiceprezydent Jay D. Vance i sekretarz stanu Marco Rubio również byli poinformowani o pracach nad planem.

Z tym szkicem Witkoff i Kushner udali się do szefa ukraińskiej grupy negocjacyjnej - sekretarza Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Rustema Umerowa, wprowadzili do planu kilka jego uwag, a następnie Umerow zaproponował, aby zadzwonić do Zełenskigo. Amerykanie przeczytali prezydentowi punkty planu i wyszli ze spotkania z poczuciem, że Ukraińcy go poparli, podczas gdy sami Ukraińcy uznali, że chodzi po prostu o wymianę poglądów na temat uregulowania konfliktu.

Z powodu tego wzajemnego nieporozumienia nie doszło do spotkania Zełenskigo z Witkoffem w Stambule. Następnie inicjatywę przejął wiceprezydent Jay D. Vance, który zaproponował, aby przekazanie planu Zełenskiemu powierzyć swojemu koledze ze studiów i zaufanej osobie - ministrowi armii Danowi Driscollowi, który właśnie planował podróż do Kijowa.

Dwa dni przed wizytą Driscolla, 19 listopada, Axios napisał o istnieniu planu, a wiadomość ta wywołała głośny międzynarodowy skandal - włącznie z oskarżeniami Stanów Zjednoczonych o zdradę interesów Ukrainy. Departament Stanu musiał wyjaśniać oburzonemu europejskim dyplomatom, że nie jest to „plan Trumpa”, chociaż Trump jednocześnie na żywo nie tylko popierał ten plan, ale także wymagał od Zełenskigo, aby zatwierdził go do 27 listopada.

W tym momencie część wpływowych osób w administracji Trumpa, w tym Marco Rubio, uznała, że wydarzenia rozwijają się zbyt szybko. Dan Driscoll „wyprzedził wydarzenia”, decydując się na przeprowadzenie pełnych rozmów pokojowych z Ukraińcami, powiedział Axiosowi wysoki rangą urzędnik Białego Domu. Do piątku Trump doszedł do tego samego wniosku, dlatego do Genewy wraz

z Witkoffem, Kushnerem i Driscollem pojechał również Rubio.

Ten najpierw zażądał od Ukraińców wydania oświadczenia, że Stany Zjednoczone nie zmuszają ich do niczego (o tym w innych słowach opowiada w wywiadzie dla „FT” Serhiej Kislica). Stany Zjednoczone z kolei zmieniły retorykę i zaczęły nazywać 28-punktowy plan „dokumentem ramowym”, a nie ostatecznym planem, i wykazały gotowość do włączenia do niego ukraińskich propozycji.

Ale historia pisania planu cały czas ewoluuje. O tym, że „plan Trumpa” wygląda, jakby przetłumaczono go z języka rosyjskiego, mówiło wielu komentatorów, w tym Timothy Snyder, amerykański historyk, profesor Uniwersytetu Yale.

- Plan pokojowy dla Ukrainy to w gruncie rzeczy projekt rosyjski, który został przetłumaczony na angielski przez Amerykanów i jest promowany przez Białą Dom - ocenił.

Agencja Bloombergu ujawniła właśnie treść rozmów między Steve'em Witkoffem a przedstawicielem Władimira Putina Jurijem Uszakowem, z których wynika, że 28-punktowy plan pokojowy przedstawili Amerykanom Rosjanie, a ekipa Trumpa przedstawiła go później jako swój. Dodatkowo Witkoff podpowiadał Uszakowowi, jak podejść do Donalda Trumpa, który w tamtym czasie zastrzył anty-moskiewską retorykę i straszył przekazaniem Ukrainie Tomahawków.

Trump, zapytany o publikację Bloombergu, stwierdził tylko, że „to bardzo standardowa forma negocjacji”.

Główni aktorzy zamieszania

Trudno się zatem dziwić, że światowe media zaczęły przyspieszać tym, którzy stali za „pokojowym planem Trumpa”, a potem rozpisywać o głównych aktorach projektu, który miał zagwarantować pokój w Ukrainie. I tak brytyjski „Guardian” zauważa, że w życiorysie Danego Driscolla nie ma zbyt wielu wzmianek, z których wynikałoby, że ma kwalifi-

kacje, aby zrozumieć relacje rosyjsko-ukraińskie, dalej dziennik sugeruje, że głównym powodem jego obecności w administracji Trumpa może być przyjaźń z wiceprezydentem J.D. Vance'em. Panowie razem studiowali prawo na Yale. Dan Driscoll ma 38 lat i wykształcenie w administracji biznesowej, odbywał staż w senackiej komisji ds. weteranów, był bankierem inwestycyjnym, a obecnie pełni funkcję sekretarza armii USA. Prezydent Trump nazywał Driscolla „gościem od drow”, bo ten interesuje się nowoczesną technologią i zrobił go łącznikiem między przywódcą Rosji Władimirem Putinem a prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim.

Steve Witkoff to 67-letni specjalny wysłannik Trumpa do spraw Bliskiego Wschodu też ma niewielkie doświadczenie dyplomatyczne, jest deweloperem budowlanym i wieloletnim darczyńcą Partii Republikańskiej, w każdym razie organizacja ProPublica podała w 2021 roku, że Witkoff przekazał ponad dwa miliony dolarów na komitety polityczne Trumpa.

„Washington Post” pisze, że zanim Donald Trump powrócił do Białego Domu, Witkoff był jego doradcą politycznym, prywatnie - panowie razem grali w golfa.

Z kolei Jared Kushner to nowojorski miliarder, biznesmen i inwestor pochodzący z żydowskiej rodziny, zięć prezydenta Trumpa.

Kushner zawsze miał bardzo duży wpływ na decyzje teścia, w każdym razie te polityczne, pełnił też ważną rolę w zespole przygotowującym przejęcie administracji w pierwszej kadencji.

Dalej jest reprezentujący Kreml Kirył Dmitrijew, szef rosyjskiego funduszu majątkowego, absolwent uniwersytetu w Harvardzie zafascynowany Stanami Zjednoczonymi. Dmitrijew to syn wybitnych naukowców, uczył się w elitarnej szkole w Kijowie, potem zrobił karierę w biznesie.

Jak wynika z ustaleń „Wall Street Journal”, kluczowy wkład w projekt „planu pokojowego”

miał właśnie Dmitrijew, niektóre media twierdzą, że jest jego autorem. W każdym razie to on uczestniczył w tajnych spotkaniach z amerykańskimi negocjatorami w Miami, gdzie przedstawiał szczegółowe propozycje dotyczące przyszłości Ukrainy. Wśród postulatów podnoszonych przez Dmitrijewa znalazły się m.in. wykluczenie Ukrainy z NATO, wycofanie się z Donbasu i innych terytoriów oraz ograniczenie liczebności ukraińskiej armii. To Dmitrijew zaproponował także podpisanie przez USA i Rosję umów gospodarczych w strategicznych sektorach. CNN dodaje, że to właśnie Dmitrijew miał również zaproponować budowę tunelu „Trump - Putin” między Alaską a rosyjskim Dalekim Wschodem, o który zapytano w trakcie niedawnego spotkania Donalda Trumpa z Wołodymyrem Zełenskim

I co dalej?

Po dyplomatycznym zamieszaniu, którego jedynym celem

było ugaszenie pożaru wywołanego przez „pokojowy plan Trumpa”, głos ponownie zabrał sam Donald Trump.

„W ciągu ostatniego tygodnia mój zespół poczynił ogromne postępy w dążeniu do zakończenia wojny między Rosją a Ukrainą (wojny, która nigdy by się nie rozpoczęła, gdybym był prezydentem!). W zeszłym miesiącu zginęło 25 000 żołnierzy. Pierwotny 28-punktowy plan pokojowy, opracowany przez Stany Zjednoczone, został dopracowany dzięki dodatkowym konsultacjom z obu stron i pozostało tylko kilka punktów spornych” - napisał prezydent Trump na swoim portalu Truth Social. „W nadziei na sfinalizowanie tego planu pokojowego poleciłem mojemu Specjalnemu Wysłannikowi Steve'owi Witkoffowi spotkanie z prezydentem Putinem w Moskwie. Jednocześnie Sekretarz Sił Zbrojnych Dan Driscoll spotka się z Ukraińcami. Będę informowany o wszystkich postępach, wraz z wiceprezydentem J.D. Vance'em, sekretarzem stanu Marco Rubio, sekretarzem wojny Pete'em Hegsethem i szefową personelu Białego Domu Susie Wiles” - dodał.

I wyraził nadzieję, że wkrótce spotka się z prezydentem Zełenskim i prezydentem Putinem, ale tylko wtedy, „gdy porozumienie kończące tę wojnę będzie ostateczne lub w końcowej fazie”.

Cała historia z pisaniem planu, który miał przynieść pokój w Ukrainie nie stawia w najlepszym świetle amerykańskiej dyplomacji. Ale najważniejsze pozostaje pytanie: co zrobi z nowym, poprawionym już dokumentem Władimir Putin. Wielu ekspertów twierdzi, że nie zgodzi się na nic, co nie zostało napisane na Kremlu.

PAP

REKLAMA 0311243884

Tvoja jesienna kolekcja marzeń
- tylko w
CENTRUM MODY
NADARZYN

Czynne w każdej
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy

CM
ELEGANCJA

**Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn**
tel. 22 739 55 00

GEN. RIHO TERRAS: ROSJA ROZUMIE JEDYNNIE SIŁĘ. EUROPA NIE POKAZUJE, ŻE JEST DRUGĄ GOSPODARKĄ ŚWIATA

– W tym roku nic na Ukrainie się nie zmieni, ale dostrzegam szansę na postęp. Nastąpi on wtedy, gdy Amerykanie otrzymają więcej informacji o tym, co dzieje się na miejscu. Dziś rozmowy w dużej mierze są toczone w oparciu o rosyjskie dezinformacje. Europejscy przywódcy muszą zadbać o to, aby Trump otrzymał informacje o rzeczywistej sytuacji na miejscu – mówi generał Riho Terras, były dowódca Estońskich Sił Obronnych

Agaton Kosiński

Gwałtownie przyspieszyły rozmowy pokojowe między Rosją i Ukrainą. Przyniosą rezultat?

Rzeczywiście, nastąpiło przyspieszenie, ale nie spodziewam się, żeby to dało efekt. Ukraina nie zaakceptuje warunków stawianych przez Rosję, z kolei Rosja nie zmieni swojego stanowiska. Pierwszy plan, który poznaliśmy, składał się z 28 punktów.

Ujawnił go w ubiegłym tygodniu amerykański portal informacyjny Axios.

Zawarte w nim propozycje naruszały ponad 30 różnego rodzaju umów międzynarodowych. Nie ma mowy, by tego typu projekt został zaakceptowany.

Na początku tego tygodnia doszło do rozmów w Genewie, gdzie ustalono plan składający się z 19 punktów. Ukraina ten plan zaakceptowała.

Tak, ale nie zaakceptuje go Putin – to po pierwsze. Po drugie, Ameryka nie może decydować o Europie bez Europy i nie może decydować o Ukrainie bez Ukrainy. Nie można tak po prostu napisać w jakimś dokumencie, że Europa ma przejąć za coś odpowiedzialność. To tak nie działa.

Słychać, że niedługo odbędzie się spotkanie między Zełenskim a Trumpem w Białym Domu. To byłby moment na uzgodnienie wspólnego stanowiska.

Nie sądzę, aby takie spotkanie doszło do skutku, jeśli wcześniej nie uda się osiągnąć realnego porozumienia. Nie spodziewam się, by ten proces doprowadził do zawieszenia

broni – przede wszystkim dlatego, że strona rosyjska nie wykazuje takiej woli. Rosja chciałaby, aby Ukraina skapitulowała, a Ukraina nie może skapitulować, niezależnie od tego, czy ma poparcie Trumpa, czy nie. Dlatego teraz Ukraińcy muszą zachować spokój, muszą się zjednoczyć, a nie walczyć między sobą.

Ukraińską politykę poważnie nadwerżył skandal korupcyjny w otoczeniu prezydenta Zełenskiego.

Warto zwrócić uwagę, kiedy pojawił się przeciek o nim. Doszło do niego dokładnie w momencie rozpoczęcia negocjacji.

Przypadek?

W takich sytuacjach nie ma przypadków. Ale w interesie Ukraińców jest odłożyć na bok różnice, trzymać się razem, zachować spokój i walczyć z Rosją.

Bardzo trudno jest zmobilizować się, zjednoczyć wokół prezydenta, którego pozycja została tak mocno podważona.

Nawet jeśli jest to trudne, to jedyny sposób, aby przetrwać. W Kijowie muszą pamiętać, że celem Rosji i Trumpa jest osłabienie Ukrainy – bo jeśli ona jest słaba, to można narzucić jej niekorzystne warunki. Ale na pewno nie ma podstaw do pesymizmu.

Ale też nie widać podstaw do optymizmu, bo zmiany rytmu wydarzeń w Ukrainie szybko nie należy się spodziewać.

Dostrzegam szansę na postęp. Nastąpi on wtedy, gdy Amerykanie otrzymają więcej informacji o tym, co naprawdę dzieje się na miejscu. Dziś rozmowy w dużej mierze są toczone w oparciu o rosyjskie dezinformacje. Europejscy przywódcy muszą zadbać o to, aby Trump i jego administracja otrzymali informacje o rzeczywistej sytuacji na miejscu.

Czego potrzeba, aby osiągnąć rzeczywisty postęp w negocjacjach? Więcej kija czy więcej marchewki?

Dzisiaj tylko kija.

Jakiego rodzaju?

Niemal 200 miliardów euro zamrożonych aktywów Rosji. Powinniśmy je wykorzystać na wsparcie Ukrainy.

Belgijski rząd wsparty przez Emmanuela Macrona zablokował przekazanie tych pieniędzy Ukrainie.

Emmanuel Macron bardzo głośno deklaruje wsparcie dla Ukrainy, ale tylko słowami, nigdy czynami. Teraz musi zacząć działać. Natomiast rząd belgijski oświadczył, że jeśli otrzyma gwarancje, to jest skłonny przekazać aktywa rosyjskie Ukrainie.

Ursula von der Leyen zapowiedziała w środę w Strasburgu, że Komisja Europejska przedstawi projekt wykorzystania tych pieniędzy. To wystarczy, aby wywrzeć wystarczającą presję na Kremlu? Sądzę, że tak.

Putin w polityce nigdy nie przywiązywał wagi do pieniędzy.

Ale tu nie chodzi o pieniądze Putina. Chodzi o to, że te pieniądze trafią na Ukrainę, dzięki czemu ona będzie w stanie zacząć produkować więcej uzbrojenia. Dziś ukraiński przemysł obronny działa na pół gwizdka. Gdy pojawiają się dodatkowe pieniądze, będzie on mógł znacznie zwiększyć produkcję, a tym samym skuteczniej wspierać wojsko.

Generał Walerij Załużny przekazuje, że Ukraina powinna dokonać znacznego postępu w rozwoju wyposażenia wojskowego, zwłaszcza w zakresie robotyzacji sił zbrojnych.

Ukraina już to robi. W odróżnieniu od Rosji siły zbrojne Ukrainy są już bardzo elastyczne, zmieniają się każdego dnia. Zmieniają swoją taktykę i są gotowi do walki. Inaczej jest po stronie rosyjskiej. Tam brakuje woli do walki, Rosjanie są do niej zmuszani pod groźbą kary śmierci. To bardzo duża różnica. W dłuższej perspektywie Ukraina ma z pewnością lepszą pozycję, zwłaszcza jeśli otrzyma więcej inwestycji w nowoczesne technologie, w szczególności technologie dronowe. Obecnie Ukraińcy opracowują systemy rakiet dalekiego zasięgu. Wzmocnieni dodatkowymi funduszami będą mogli zadać

Rosji naprawdę poważne straty, uderzając w głąb tego kraju. Moskwa tego się obawia w pierwszej kolejności.

Jednocześnie to Rosja cały czas utrzymuje przewagę na polu bitwy. Dlaczego po niemal czterech latach wojny tak trudno jest powstrzymać Rosjan?

Nie wiem, czy można to nazwać przewagą. Rosyjskie wojska poruszają się wolniej niż ślimaki, choć na polu walki w ogóle nie dbają o swoich ludzi. Inaczej niż Ukraińcy, którzy próbują ratować swoich ludzi i dlatego w pewnych momentach muszą coś poświęcić. Ale nawet przy tym lekceważeniu Rosjan dla własnych żołnierzy nie udało im się zdobyć w ostatnim roku żadnej znaczącej pozycji. Nawet Pokrowska, miasta liczącego 30 tys. mieszkańców.

Pomijając obecną próbę podjęcia negocjacji, od dłuższego czasu wojna między Ukrainą i Rosją utknęła w impasie, także politycznym. Europa więcej mówi o działaniach na rzecz zakończeniu konfliktu niż podejmuje realne działania. Jak to wyjaśnić?

Wszyscy rozumieją, że ta sytuacja jest bardzo ważna z perspektywy całej Europy, ale jednocześnie nikt nie chce ponosić kosztów z własnej kieszeni. I to jest problem przywództwa. Europa nie ma prawdziwych liderów. Nie mamy też planu pokojowego. Można zastanawiać się, czy plan pokojowy Trumpa jest zły, czy dobry, ale on przynajmniej powstał, jest podstawą do dyskusji. Czy coś podobnego powstało w Unii Europejskiej? Nie.

Trzej europejscy przywódcy naszkicowali projekt planu w reakcji na plan negocjowany przez USA.

Powinniśmy usiąść razem, zebrać ogromny pakiet pieniędzy i postawić jasne warunki postępowania. Rosja rozumie jedynie siłę, tymczasem my nie pokazujemy, że jesteśmy drugą co do wielkości gospodarką świata.

Ukraina jest skazana na ustępstwa terytorialne wobec Rosji?

Wygląda na to, że będzie musiała je zaakceptować.

Jakiego rodzaju ustępstwa?

Punktem wyjścia w negocjacjach stanie się obecna linia frontu. Tak to wyglądało podczas wojny zimowej w 1939 roku między ZSRR i Finlandią.

Jakiej pomocy potrzebuje Ukraina, aby utrzymać tę linię frontu?

Musimy wesprzeć Ukrainę, zapewniając jej sprawny system obrony przeciwlotniczej. W zakresie obrony przed dronami Ukraińcy są już lepsi od państw NATO. Ale osłona nieba kosztuje, potrzeba na nią pieniądze. Ukraina potrzebuje więcej systemów Patriot lub ich odpowiedników.

Potrzebuje też żołnierzy, bo wiele jednostek frontowych nie miało rotacji od kilku lat.

Przykro mi, ale jednak oni walczą – żołnierzy rosyjscy nie żyją. Lepiej być ledwo żywym niż być martwym – tak sądzę.

Nie zmienia to faktu, że Ukraina ma ogromne problemy z mobilizacją rezerwistów. Jak długo będzie w stanie powstrzymać Rosjan?



FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Terras: Można zastanawiać się, czy plan Trumpa jest zły, czy dobry, ale on przynajmniej powstał, jest podstawa do dyskusji. Czy coś podobnego powstało w Europie? Nie (na zdjęciu: Wołodymyr Zełenski i sekretarz armii USA Dan Driscoll)

Tak długo, jak długo ich ludzie będą tego od nich oczekiwać. Jeśli Ukraińcy powiedzą, że już wystarczy, żołnierze przestaną walczyć. Tak jest we wszystkich wojnach. Pytanie brzmi: czy Ukraińcy nadal uważają, że warto o to walczyć? Dopóki będą odpowiadać twierdząco na to pytanie, ich synowie i córki będą walczyć. To jedna z idei leżących u podstaw tego planu negocjacyjnego. Jeśli natomiast Kijów zdecyduje się zaprzestać walk, ponieważ jest zmęczony wojną, to zrobi wszystko, co konieczne, aby zakończyć wojnę.

Jak skandal korupcyjny zmienił pozycję Wołodymyra Zełenskiego w Ukrainie? Dziś polityka znajduje się na drugim planie. Ona odżyje dopiero wtedy, gdy ustaną walki. W obecnej sytuacji wszyscy ukraińscy politycy - Załużny, Poroszenko, Tymoszenko, Kliczko itp. - powinni poprzeć Zełenskiego i pokazać jedność.

Jedność wobec czego? Wobec pojawiającej się przestrzeni do negocjacji? Tak. Wydaje się, że Donald Trump jest naprawdę zdeterminowany, by doprowadzić do przerwania walk. On chce zdobyć pokojową nagrodę Nobla - to jest jego cel.

Ale wcześniej sam Pan zauważył, że porozumienie Rosjan

z Ukraińcami jest właściwie niemożliwe. Bo tak jest. Ale Trump dąży do tego, żeby przerwać walki, powstrzymać zabijanie. Jemu chodzi o zawieszenie broni, przerwę w konflikcie. To coś innego niż trwały pokój. Oddzielna sprawa, że krótkotrwałe zawieszenie broni może oznaczać, że szybko dojdzie do wybuchu jeszcze większego konfliktu. A czy my naprawdę chcemy kolejnego nierozwiązanego problemu na terenie Europy? Na pewno nie powinien o tym decydować Donald Trump, to nie od niego powinno zależeć to, jak Europa będzie się rozwijać w przyszłości. To Europejczycy powinni to określać i podejmować odpowiednie działania. Musimy się na poważnie zacząć zastanawiać nad konsekwencjami tego, co się stanie, jeśli Ukraina zostanie utracona na rzecz Rosji.

W Europie Zachodniej coraz częściej słychać obawy przed tym, że trzeba się będzie zmierzyć militarnie z Rosją. Ostatnio mówił o tym choćby gen. Fabien Mandon, szef sztabu francuskiej armii. To realna groźba? Tak, jeśli nic nie zrobimy, aby powstrzymać Rosję. Powinniśmy więc wywiązać się z zobowiązań, które mamy jako państwa należące do NATO.

Chodzi o zwiększenie wydatków na wojsko do 5 proc. PKB?

Problem jest głębszy. Kraje europejskie od 30 lat nie osiągają celów zakładanych przez NATO. Poziom zaniedbań jest bardzo wysoki. Jeśli to zmienimy, jeśli zaczniemy te cele osiągać, to wtedy będziemy gotowi do walki.

Na razie słychać, że dwie trzecie niemieckich czołgów nie działa. Akurat tak było w przeszłości, ale nie teraz. Obecnie Niemcy naprawdę dużo inwestują w obronność, chcąc stać się najpotężniejszymi siłami zbrojnymi w Europie, co moim zdaniem się uda. Realne jest, że osiągną ten cel w 2030 roku. Natomiast należy zadać inne pytanie: co się stanie do tego roku? Dlatego tak ważne jest, by wszystkie kraje europejskie zwiększyły swoje nakłady na armię? Europa już jest w stanie wyprodukować w ciągu roku tyle samo amunicji, co obecnie Rosja - jeszcze niedawno było to nierealne. Pracujemy nad „murem dronowym” i Europejską Żelazną Kopułą. Jeśli te projekty uda się dokończyć, Rosja nie będzie miała możliwości rzucenia wyzwania NATO. Pod warunkiem że Europa będzie wspólnie reagowała, że w chwili zagrożenia nastąpi absolutnie jednolita reakcja.

Rosja cały czas wyprowadza Europę pod względem przygotowania do konfliktu. Ten kraj

przestawił się na gospodarkę wojenną, sprzedaje nawet rezerwy złota, aby mieć pieniądze na zbrojenia. Europa nie jest gotowa na takie zmiany. Nie ma takiej potrzeby. Europa jest drugą co do wielkości gospodarką świata i nie musi przechodzić na gospodarkę wojenną. Wystarczy, że będzie inwestować w zbrojenia tyle, ile obiecała. Proszę pamiętać, że wspólnie jesteśmy znacznie silniejsi niż Rosja przed rozpoczęciem wojny. Ciągłe natomiast nie wiadomo, czy jesteśmy gotowi wykorzystać tę naszą siłę, czy jest wola do tego. Jestem prawie przekonany, że nawet Polska może dziś poradzić sobie z Rosją.

Na polu bitwy? O to Panu chodzi? Tak. Same zdolności obronne Polski są tak duże, jak dzisiejsze rezerwy Rosji.

Rosja ma milion rezerwistów. My nie. Oni nie mają miliona żołnierzy. Jedynie na papierze, ale papier nie walczy, jeśli spojrzeć na to, jak trudno jest wysłać żołnierzy na linię frontu. Gdyby dysponowali rzeczywście tak ogromnymi rezerwami, to już dawno pokonałby Ukrainę, a nie toczyli kilkutygodniową bitwę o 30-tysięczny Pokrowsk. Ukraina jest w stanie skutecznie zatrzymać Rosję, a Polska ma obecnie większe możliwości. Polska jest doskonałym przy-

kładem tego, jak należy rozwijać obronność.

Kwestia negocjacji wokół Ukrainy pokazuje też, że USA i Europa to dwa rozbieżne światy. Skąd ta utrzymująca się rozbieżność? Bierze się stąd, że Europa nie chce być silna. My opieramy się liberalnej ideologii pokojowego współistnienia. Musimy zrozumieć, że te czasy już minęły, że tacy przeciwnicy, jak Putin, rozumieją tylko siłę. Trump to rozumie, dlatego jest gotowy nałożyć wtórne sankcje na Indie za to, że one ciągle kupują od Rosji ropę naftową.

Trump cały czas szuka nowych narzędzi wywarcia presji na Kreml. I wzywa Brukselę do tego, by poszła w jego ślady. Tyle że Europa negocjuje umowę handlową z Indiami i do tego typu ruchów nie jest gotowa. Oddzielna sprawa, że te nowe narzędzia Trumpa też nie przynoszą wyraźnych efektów, nie da się powiedzieć, że po ich wprowadzeniu sytuacja zmieniła się na lepsze. Ale faktem jest, że Europa w ogóle nie wykorzystuje możliwości, jakie nam daje fakt bycia drugą co do wielkości gospodarką świata. Oddzielna sprawa, że wszyscy grają na podziały Europy, widać ciągle próby jej podzielenia. Wszyscy boją się silnej Europy: Trump, Putin,

Chiny. Dlatego musimy stać się silni, aby być częścią światowej gospodarki i bronić naszego demokratycznego stylu życia.

Podkreśla Pan, że metody Trumpa nie przynoszą efektu. A co by się stało, gdyby on w ogóle machnął ręką na ten konflikt? Za rok ma wybory uzupełniające, ważna dla niego stanie się polityka krajowa. Czy Europa jest w stanie samodzielnie szukać rozwiązania konfliktu w Ukrainie? Mimo wszystko nie będzie tak łatwo Stanom Zjednoczonym zostawić Ukrainę. Proszę zobaczyć, jak teraz wielu amerykańskich kongresmenów zabiera w tej sprawie głos: 28-punktowy plan krytykowali nawet republikańscy deputowani. Widać wyraźnie, że dla nich to też ważna kwestia.

Ta krytyka to jeden z powodów, dla którego ten 28-punktowy plan szybko znikł. Ten nowy, 19-punktowy, też nas do niczego nie zaprowadzi. Nie spodziewam się, żeby Putin był skłonny rozpocząć jakiegokolwiek negocjacje. Zero, nic. On nie będzie rozmawiał, bo nie uważa Ukrainy za wystarczająco silną, by trzeba było się z nią układać. Gdyby inaczej postrzegał Kijów, sytuacja wyglądałaby inaczej. Dlatego też Trump nie osiągnie swojego celu: nie doprowadzi do sytuacji, w której ludzie na Ukrainie przestaną ginąć. Na pewno nie dojdzie do tego w tym roku.

Ale jednak coś drgnęło w negocjacjach. Możliwe jest uzyskanie jakiegoś efektu na początku przyszłego roku? Nie wiem, co się stanie później, w kolejnych miesiącach, ale w tym roku zmiany sytuacji nie doświadczymy.

CV



Riho Terras

Generał estońskiej armii w stanie spoczynku. W latach 2011-2018 dowódca Estońskich Sił Obronnych. Wcześniej pełnił funkcje ministerialne i dyplomatyczne, w 2007 roku stacjonował w Iraku w ramach misji szkoleniowej NATO. Od 2018 r. jest politykiem. Obecnie jest eurodeputowanym estońskiej partii Isamaa (EPL).

Rozliczenia rządów Zjednoczonej Prawicy nabierają tempa

Kolejne przeszukania, kolejne zarzuty, kolejne medialne doniesienia o tym, jak dzielono środki z Funduszu Sprawiedliwości. Ekipa Donalda Tuska zdaje sobie sprawę, że czas ucieka. Zostały dwa lata na rozliczenie rządów Zjednoczonej Prawicy i pociągnięcie do odpowiedzialności ewentualnych winnych. Nie wiadomo przecież, kto wygra wybory w 2027 roku

Dorota Kowalska

Wygłada na to, że koalicja rządząca postanowiła dopilnować, aby jedna z obietnic wyborczych została zrealizowana, przynajmniej w części. Śledczy przyspieszyli: kolejne przeszukania, kolejne zarzuty, kolejne newsy pojawiające się w mediach.

Premier Donald Tusk i minister sprawiedliwości Waldemar Żurek tłumaczą, że nie wszystko zależy od nich, że nie mogą i nie będą wpływać na pracę prokuratorów, a tym bardziej sędziów, ale - biorąc pod uwagę osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy - może to i dobrze.

„Rozliczenia wchodzą w decydującą fazę. Państwo działa cierpliwie, konsekwentnie

i zgodnie z prawem. Nie ma już świętych krów. Niewinni nie mają się czego obawiać. Winni jak najbardziej” - napisał w środę wieczorem premier Donald Tusk na platformie X.

Do tego wpisu w „Faktach po Faktach” w TVN24 odniósł się szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Jan Grabiec.

- Ci, którzy cieszą się z tego, że przez te dwa lata jeszcze sprawiedliwość ich nie dopadła, nie mają się z czego cieszyć, bo jeśli zgrzeszyli, to przyjdzie sąd ostateczny - stwierdził. - Wiemy, że w ostatnim czasie ta bieżąca działalność służb i prokuratury przynosi bardzo wymierne efekty (...) myślę, że najbliższe godziny przyniosą kolejne fakty - podsumował szef KPRM.

Sprawa rozliczeń wciąż ważna jest dla wyborców, zwłaszcza tych koalicji rządzącej. Chociaż coraz mniej z nich uważa ją za najważniejsze wyzwanie, przed którym stoi rząd Donalda Tuska.

- Rozliczenie rządów Prawa i Sprawiedliwości dzisiaj w mniejszym stopniu interesuje ogół Polaków niż na przykład w 2023 roku. O ile w 2023 roku była to druga pozycja w hierarchii priorytetów rządu, o tyle dzisiaj jest siódma, bo na pierwszą wskoczyło bezpieczeństwo i ochrona zdrowia. To zrozumiałe, ludzie oceniają politykę i polityków przez pryzmat życia codziennego, doświadczeń w życiu codziennym - mówi nam w ostatnim wywiadzie prof. Ewa Marciniak, politolożka,

od 2023 dyrektor Centrum Badań Opinii Społecznej.

W październiku pracownia SW Research na zlecenie Onetu zapytała ankietowanych: „Czy uważa Pan/Pani, że rząd Donalda Tuska powinien traktować rozliczenie poprzedniej władzy, z PiS na czele, jako jeden ze swoich głównych priorytetów?”.

Twierdząco odpowiedziało 41,6 proc. respondentów. Niemal taki sam odsetek badanych (39,6 proc.) wskazuje, że rozliczenie afer Prawa i Sprawiedliwości nie powinno należeć do priorytetów rządu. Z jego badania wynika jednak jasno, że prawie dla połowy ankietowanych rozliczenie rządów Prawa i Sprawiedliwości, to sprawa ważna. Może dlatego premier mówi o niej od dawna.

- Politycy PiS przez osiem lat okradali Polskę bezwstydnie. Robili to w sposób bardzo cwany, bo jak mówił minister Marcin Ho-
rała, robili to zgodnie z procedurami - stwierdził 30 października w programie „Pytanie dnia”. - Napotykamy albo rzeczy zgodne z procedurami, albo bardzo trywialne kradzieże i nadużycia. Ciąg dalszy nastąpi i minister Waldemar Żurek ma ten temperament, który pozwala mu nie patrzeć na przeszkody - dodał.

I podkreślił, że w rozliczeniach „nie chodzi o odwet ani o zemstę”.

- Tu chodzi o to, żeby zwyciężyła sprawiedliwość - tłumaczył Donald Tusk.

Chociażby dla tych, którzy mieli prawo korzystać, a nie korzystaliby ze środków z Funduszu

Sprawiedliwości. Ten fundusz i wszystko, co działa się wokół niego to jedna z największych afer rządów Zjednoczonej Prawicy. O co chodziło? Pieniądze, które miały pomagać ofiarom przestępstw tak naprawdę zasilają konta przeróżnych fundacji, które często z taką pomocą nie miały nic wspólnego, albo służyły promocji polityków Suwerennej Polski, choćby w kampaniach wyborczych. Donosili o tym nie tylko dziennikarze, mówi o tym także raport NIK. Pieczę nad Funduszem Sprawiedliwości sprawował ówczesny szef resortu Zbigniew Ziobro, ale bezpośrednio za rozdział środków odpowiadał jego podwładny - właśnie wiceminister Romanowski. Obaj usłyszeli zarzuty, obaj przebywają na Wę-

AUTOREKLAMA

0011427796

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

do kupienia
także
w sieci





FOT. ADAM JANKOWSKI

Donald Tusk pokłada duże nadzieje w działalności ministra Żurka. Wziął go do rządu właśnie po to, by spełnić wyborcze obietnice: rozliczyć poprzedników

grzech. Marcin Romanowski oficjalnie otrzymał azyl od Victora Orbana, Zbigniew Ziobro czeka na bieg wydarzeń, ale prokuratura wystąpiła do sądu z wnioskiem o jego trzymiesięczny areszt.

Śledczy podejrzewają Ziobrę o popełnienie łącznie 26 przestępstw, w tym o założenie i kierowanie „zorganizowaną grupą przestępczą przez okres pięciu lat, jak również ustawiania i ręcznego sterowania konkursami

na dotacje z Funduszu Sprawiedliwości i przywłaszczania pieniędzy uzyskiwanych w tej drodze”.

Twierdzą, że mają mocne dowody. Jedną z najgłośniejszych historii związaną z Funduszem Sprawiedliwości opisanych przez media i badanych przez śledczych była ta dotycząca przyznania 100 mln dotacji dla Fundacji Profeto, z których 66 mln złotych zostało jej wypłaconych. Za środki z Funduszu Spra-

wiedliwości Fundacja Profeto rozpoczęła realizację ogromnej inwestycji budowlanej pod nazwą „Archipelag”, która nie miała jednak nic wspólnego z pomaganiem ofiarom przestępstw.

Kolejnym beneficjentem Funduszu był ojciec Tadeusz Rydzyk. Nie dalej jak w czwartek funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego pojawili się w siedzibie prowadzonej przez niego Fundacji „Lux Veritatis”. Zabezpieczyli tam doku-

menty związane z dochodzeniem dotyczącym nieprawidłowości właśnie w Funduszu Sprawiedliwości.

- Teraz te dokumenty będą analizowane i weryfikowane - przekazał PAP rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Jacek Dobrzyński.

Jak informowało wcześniej TVN24, Fundacja otrzymała z Funduszu Sprawiedliwości 12 mln zł. Za te środki produkowała audycje w Telewizji Trwam, opłacała wynagrodzenia prawników, którzy nie mieli odpowiednich kwalifikacji, opłacała wynajem biura w toruńskiej uczelni Rydzyka.

To zresztą nie pierwsza wizyta funkcjonariuszy Centralnego Biura Antykorupcyjnego u ojca Rydzyka, wcześniej - 5 grudnia 2024 roku CBA weszło do budynków Fundacji „Lux Veritatis” w Warszawie, Toruniu i Wrocławiu. Zabezpieczono wówczas dokumenty do śledztwa w sprawie przekroczenia uprawnień przez byłego ministra kultury Piotra Glińskiego. Chodzi o finansowanie Muzeum „Pamięć i Tożsamość” w Toruniu.

Na 8 grudnia, w dniu urodzin Radia Maryja, Tadeusz Rydzyk został wezwany do prokuratury na przesłuchanie w tej sprawie.

Były też inne fundacje, które bezprawnie korzystały z zasobów Funduszu Sprawiedliwości. W sumie, zdaniem śledczych,

zdefraudowano 112 mln złotych.

O tym, że środki z Funduszu Sprawiedliwości były wykorzystywane niezgodnie z ich przeznaczeniem, nikt już dzisiaj nie ma wątpliwości. Tym bardziej, że informacji na ten temat przybywa. W tym tygodniu Onet opisał e-maile, które posłanka PiS Maria Kurowska (dawniej Suwerenna Polska) wysyłała do osób odpowiedzialnych w Ministerstwie Sprawiedliwości w czasach Zbigniewa Ziobry za tenże fundusz. Polityczka z Podkarpacia chciała kontrolować umowy podpisywane w gminach jej okręgu wyborczego. Wskazywała konkretne kwoty, które miały trafiać do ściśle określonych instytucji, a nawet poganiała urzędników resortu.

„Fundusz Sprawiedliwości, który miał wspomagać ofiary przestępstw, dla nich był ziobrotem do wypłacania kasy na inicjatywy w swoich okręgach wyborczych. Bez procedur, analiz potrzeb, konkursów. Posłanka Kurowska z Podkarpacia, urzędników z MS traktująca jak chłopców na posyłki, bez wstydu, ale za to z poczuciem totalnej bezkarności, powołująca się na Ziobrę, pisząc do ludzi z MS na prywatne maile. I oni jeszcze śmiać mieć pretensje, że prokuratura walczy skutecznie z tą mafią?” – pyta europoseł KO Krzysztof Brejza.

Z kolei wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha pod-

kreśla, że to „wierzchołek góry lodowej”.

Tymczasem jest jeszcze sprawa Pegasusa, nieprawidłowości w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych (RARS). W tej sprawie śledztwo dotyczące przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków przez przedstawicieli RARS wszczęto 1 grudnia 2023 roku. Dotychczas we wszystkich jego wątkach postawiono 36 zarzutów 16 osobom. Jest sprawa nieprawidłowości związanych z ministerialnym programem powszechnie nazywanym „Willa plus”. W zeszłym tygodniu portal TVN24+ informował, że jedna z nieruchomości kupionych za pieniądze z programu Ministerstwa Edukacji i Nauki „Rozwój potencjału infrastrukturalnego podmiotów wspierających system oświaty”, potocznie nazywanego „Willą plus”, została wystawiona na sprzedaż za kwotę ponad trzykrotnie wyższą od ceny jej zakupu. Ministra edukacji Barbara Nowacka o sprawie poinformowała prokuraturę.

Cóż, spraw do wyjaśnienia jest sporo. Tymczasem ekipa Donalda Tuska zdaje sobie sprawę, że czas ucieka. Zostały dwa lata na rozliczenie rządów Zjednoczonej Prawicy i pociągnięcie do odpowiedzialności ewentualnych winnych. Nie wiadomo przecież, kto wygra wybory w 2027 roku. PAP

MATERIAL INFORMACYJNY MIASTA BIELSKA-BIAŁEJ

Bielsko-Biała – Miasto Splotów. Polska Stolica Kultury 2026

Bielsko-Biała jako pierwsze miasto w historii otrzymało tytuł Polskiej Stolicy Kultury – jest to nowa inicjatywa Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Narodowego Centrum Kultury. Program wyróżnia miasta, które świadomie rozwijają się poprzez kulturę i traktują ją jako narzędzie wzmocnienia wspólnoty, edukacji i tożsamości. To polski odpowiednik idei Europejskiej Stolicy Kultury, powołany po procesie ESK2029, by podtrzymać energię i pomysły, które w nim powstały.

Tytuł oznacza roczny program działań artystycznych, społecznych i edukacyjnych, mających realny wpływ na życie mieszkańców. Polska Stolica Kultury to proces, który wzmacnia lokalne instytucje, twórców i współpracę między środowiskami. Miasto Splotów nawiązuje do włókienniczej historii Bielska-Białej. W tutejszych fabrykach przez dekady powstawały tkaniny, a rzemiosło i precyzja ukształtowały kulturę miasta. Dziś „splot” jest metaforą miejsca, gdzie łączą się tradycja i nowoczesność, natura i miasto, różnorodność mieszkańców i ich doświadczeń – opowieści o wspólnotnie tworzonej poprzez współdziałanie.

Na tej idei opiera się koncepcja tkania dobrostanu – harmonii między ludźmi,

przestrzenią i naturą; odpowiedzialności, wrażliwości i otwartości. Dobrostan powstaje dzięki procesowi, dlatego program prowadzą trzy „nici”: wspólnota – kultura jako przestrzeń spotkania i dialogu; natura – równowaga i życie blisko gór, rzek i zieleni; oraz kreatywność – energia mieszkańców i artystów. Całość programu Polskiej Stolicy Kultury obejmuje ponad 100 wydarzeń, które wypełnią 224 dni roku – od widowisk masowych po działania kameralne, od inicjatyw społecznych po projekty międzysektorowe.

Uroczysta Ceremonia Otwarcia – 17 stycznia 2026 r.

Inauguracja roku odbędzie się w formie barwnego święta, na które zaproszeni są wszyscy mieszkańcy i goście. Cztery kolorowe korowody wyruszą z różnych dzielnic, symbolizując wspólnotę, naturę, kreatywność i historię. Ich spotkanie na Placu Wojska Polskiego zakończy się wspólnym polonezem – gestem jedności i otwarcia miejskiej opowieści. Następnie na Placu Ratuszowym wystąpi Bielska Orkiestra Kameralna wraz z artystami reprezentującymi różne style, a wieczór zamknie galowy koncert Orkiestry Teatru Polskiego – La Nostra Banda. Ceremonia będzie zapowiedzią roku, w którym kultura wypełni przestrzeń miasta.

Preisner Scoring Competition – nowe święto muzyki filmowej

Szczególnym wydarzeniem będzie Preisner Scoring Competition, konkurs pod patronatem Zbigniewa Preisnera – światowej klasy kompozytora i Honorowego Obywatela Bielska-Białej. Młodzi twórcy z całego świata skomponują muzykę do obrazu Wieża Babel, a ich utwory zostaną wykonane premierowo przez orkiestrę podczas finału. Konkurs to nie tylko prezentacja talentów, lecz także warsztaty, spotkania i wymiana doświadczeń między kompozytorami, filmowcami i muzykami. Kulminacją będzie wyjątkowy koncert pod batutą Preisnera, czyniący to wydarzenie jednym z najważniejszych punktów obchodów roku. Program dopełnią m.in. Zadymka Jazzowa, Międzynarodowy Festiwal Sztuki Łalkarskiej, projekt „T-Shirt Story”, Wędrujący Festiwal, „Sąsiedzi”, Miejska Promenada Kultury, Jazzowa Jesień i Beskidzki Kongres Kultury. Dziedzictwem programu mają być trwałe relacje, rozwój kompetencji, wzmocnienie twórców i kontynuacja inicjatyw, które wyjdą poza rok świętowania. Zapraszamy na Ceremonię Otwarcia i cały program obchodów roku tytułu.

Polska Stolica Kultury zaczyna się w Bielsku-Białej.

BB
2026

Bielsko-Biała
Polska
Stolica
Kultury

Bielsko-Biała. Polska Stolica Kultury 2026

Ceremonia otwarcia
17 stycznia 2026 r.

TKAMY
DOBROSTAN

Kreatywnością



FOT. LUKASZ CAPAR

Prof. Ewa Marciniak: Zainteresowanie polityką wiąże się z faktem, czy „nasza partia” sprawuje dzisiaj władzę czy też nie. Jeśli sprawuje, to jesteśmy bardziej zainteresowani polityką, a jeśli nie, to to zainteresowanie spada

dów decydujących o tym, że ludzie nie interesują się polityką. Jest jeszcze jeden, który wskazało 19 procent badanych – bo rządzi opcja, której nie lubię, z którą się nie zgadzam, dlatego też właśnie nie interesuję się polityką. Są jeszcze oczywiście drobniejsze powody: ludzie uważają, że nie mają wpływu na politykę, niektórzy nie wiedzą, co myśleć: politycy się kłócą, a oni nie potrafią tego ocenić. Polityka i wypowiedzi polityków wzbudzają coś w rodzaju dysonansu poznawczego, a widzowie nie mają czasu na to, aby zredukować ten dysonans, żeby znaleźć informacje i argumenty przemawiające za jednym bądź za drugim stanowiskiem. Bo rzeczywiście, jeżeli przyjrzymy się dyskusjom politycznym, to właściwie każdy temat, który jest podejmowany w studiach telewizyjnych, jest tematem spornym. Zawsze politycy mają odmiennie stanowiska, a ludzie nie mają czasu, a czasami ochoty na to, żeby szukać informacji, które pozwoliłyby im ocenić, który z nich mówi prawdę.

Jakie emocje wzbudza jeszcze polityka?

Dwa pierwsze wskazania to rozczarowanie i zniechęcenie. Rozczarowanych polityką jest

blisko 50 procent respondentów, zniechęconych – 33 procent, dalej jest złość – 17 procent.

To bardzo dużo!

W porównaniu do na przykład zadowolenia – 7 procent, satysfakcji – 5 procent, radości – 1 procent. Więc dominują negatywne uczucia. Częściej te pozytywne można wskazać wśród wyborców Koalicji Obywatelskiej – 19 procent, ale także wśród wyborców Prawa i Sprawiedliwości – 17 procent i 10 procent wśród lewicy. W pozostałych partiach uczucia zadowolenia są jednocyfrowe. Można też z tego wynioskować, że dwa duże ugrupowania polityczne generują pozytywne uczucia ze względu na ich dominujące miejsce na scenie politycznej. Przynależność czy identyfikacja z jedną lub z drugą partią pozwala na dostrzeganie w polityce, którą te partie proponują czy realizują czegoś pozytywnego. Dużo się o nich mówi, obie te formacje są eksponowane w mediach, ludzie czują z tego powodu satysfakcję. A silna identyfikacja z partiami sprzyja ich idealizowaniu.

Nie ma pani wrażenia, że na to wszystko wpływa też zmęcze-

nie Polaków tą wieczną polaryzacją, która trwa od lat i o której już mówiliśmy?

Tak myślę. Poszukiwalibyśmy jakiegoś spokoju, ale z kolei, jeśli pojawia się ugrupowanie polityczne, które wydaje się ugrupowaniem rozsądnego środka, czyli mam tu na myśli Polskę 2050, to w tym spolaryzowanym świecie politycznym ludzie nie umieją się odnaleźć jako wyborcy tej partii i dalej trzymają się swoich. Nie wiem, może trochę z przyzwyczajenia, może trochę z nieumiejętności bycia w centrowym środowisku, bo tak należy ocenić Polskę 2050. Oczywiście spadki poparcia dla tej formacji wynikają nie tylko z tego, że wyborcy nie umieją się odnaleźć w bardziej zrównoważonej propozycji politycznej, ale też z innych czynników, między innymi z przywództwa, z braku struktur. Jeszcze jedna bardzo ciekawa informacja wynikająca z tego badania. Kto najczęściej doświadcza tych negatywnych uczuć? Otóż są to osoby najlepiej sytuowane, w wieku 45-54 lata, mieszkańcy dużych miast. Badani, którzy wskazują raczej na lewicowe poglądy polityczne.

Mieszkańcy dużych miast, dużych aglomeracji bardziej in-

teresują się polityką niż małych miasteczek i wsi? To ma znaczenie?

Ma to znaczenie. Mieszkańcy dużych miast interesują się w większym stopniu polityką niż mieszkający w mniejszych aglomeracjach czy na wsi. Ze względu na to, że coś o niej wiedzą, czują się rozczarowani. Kiedyś były takie australijskie badania, które chyba jako jedne z pierwszych pokazywały pewną zależność – otóż im wyższe zainteresowanie polityką, tym większa tendencja do ucieczki od niej ze względu właśnie na wiedzę, która przyprawia ludzi o negatywne emocje.

Mówiąc szczerze, to trochę smutne, bo z tych badań wynika, że im bardziej ktoś interesuje się polityką, im bardziej próbuje ją zgłębić, polapać w tym, o co w niej chodzi, tym bardziej czuje się rozczarowany.

Tak. I wtedy ludzie angażują się w inne obszary aktywności czy prywatnej, czy publicznej, a niekoniecznie są aktywni politycznie. I nie chodzi o to, żeby zostać radnym czy posłem, ale o to, żeby śledzić wydarzenia, być zaangażowanym w to, co dzieje się na scenie politycznej i w życiu społecznym.

Z waszych ostatnich badań wynika także, że część wyborców Koalicji Obywatelskiej jest trochę zawiedziona szybkością rozliczeń rządów Zjednoczonej Prawicy. Z kolei część wyborców Prawa i Sprawiedliwości jest rozczarowana brakiem skuteczności swojej partii i aferami, które wiąże się z rządami PiS-u.

Tak, w tych wskazaniach też są obecne takie motywacje – nie interesujemy się polityką także ze względu na ocenę jakości klasy politycznej. Właśnie tu mówimy o aferach, które miały i mają miejsce i o rozliczeniach. Z innego badania CBOS-u wynika, że rozliczenie rządów Prawa i Sprawiedliwości dzisiaj w mniejszym stopniu interesuje ogół Polaków niż na przykład w 2023 roku. O ile w 2023 roku była to druga pozycja w hierarchii priorytetów rządu, o tyle dzisiaj jest siódma, bo na pierwszą wskoczyło bezpieczeństwo i ochrona zdrowia. To zrozumiałe, ludzie oceniają politykę i polityków przez pryzmat życia codziennego, doświadczeń w życiu codziennym. Na zasadzie – im większa kolejka do specjalisty, tym bardziej winny polityk. Ale jeżeli nie ma kolejki, to też nie jest to zasługa polityków, tylko własnej operatywności. Trochę tak to działa. Szybko znajdujemy powody niepowodzeń, na przykład w dostaniu się do lekarza, ale jak jest to możliwe, to uważamy, że sami to sobie zorganizowaliśmy. Bezpieczeństwo też jest tym ważnym priorytetem, co wydaje się oczywiste. Wyborcy cenią sobie fakt, że koalicja rządząca w sposób skuteczny, widoczny i zrozumiały dla społeczeństwa zajmuje się tą sferą.

Jak wygląda zainteresowanie polityką wśród młodych? Ono rośnie?

Ono jest stosunkowo wysokie, na przykład wśród osób w wieku 18-24 lata połowa interesuje się polityką. Podobnie wśród osób w wieku 35-44 też – 50 procent interesuje się tym, co dzieje się na scenie politycznej. Choć – co trzeba podkreślić stosunkowo wysokie zainteresowanie polityką wśród młodych, zainteresowanie tym, co w Sejmie, Senacie, Pałacu Prezydenckim wpływa na odczuwanie niechęci, a nawet złości. Być może to w tych uczuciach należy poszukiwać źródeł poparcia dla partii, które jeszcze nie rządziły, czy wręcz dla partii antysystemowych.

To zniechęcenie polityką przekłada się na zmęczenie tym, co dzieje się na świecie, wojną w Ukrainie?

Trudno powiedzieć, ale inne badania pokazują na przykład na spadek wsparcia dla Ukraińców, którzy są uchodźcami

wojennymi i przebywają w Polsce. Na początku wojny tę chęć pomocy wskazywało 94 procent respondentów, teraz – to są badania z 2024 roku, niedługo będą nowe – to jest troszkę poniżej 50 procent. Więc to duży spadek. Ale to jest też tak, że ludzie mają coraz więcej wiedzy na temat tego, jak są wykorzystywane środki pomocowe w Ukrainie i tutaj przykład tej dużej afery korupcyjnej na pewno zniechęca Polaków do tego, aby tej pomocy udzielać. To, co ważne i co wynika z naszych badań to to, że my jako obywatele obserwujemy postępujący kryzys debaty publicznej. Odsetki zainteresowania i nikłego zainteresowania polityką, one się mniej więcej równoważą, ale nie ma wątpliwości co do tego, że uważamy, iż dyskurs publiczny, to, co oferują politycy, tematy, które podnoszą oraz to, w jaki sposób ze sobą rozmawiają – mocno nas rozczarowują. To też wpływa na tę ucieczkę od polityki, na przykład na intencjonalne przełączanie programów informacyjnych na inne kanały. Ludzie nie chcą ani oglądać, ani słuchać przekrzykujących się polityków.

Podsumowując wasze badania: wynika z nich, że zawiedliśmy się na polityce i politykach?

Na ich kulturze rozmowy na pewno. Polityka jest w pewnym sensie trudna, bo politycy muszą rozstrzygać pewne spory, rozwiązywać trudne problemy w sytuacji, gdy różne podmioty mają różne interesy. Weźmy prosty przykład dotyczący płacy minimalnej: pracownicy są zainteresowani jej podwyższeniem, pracodawcy niekoniecznie, a politycy muszą być tym arbitrem. Ale decyzje, które podejmują, muszą być komunikowane w sposób jasny, publiczna rozmowa o tych decyzjach musi być rzeczowa. Tymczasem z rzeczowością polityków jest na bakier. Oni wiedzą, że popularność zapewniają im emocje, bon moty i na tym się koncentrują. Jednak, kiedy prowadziliśmy wcześniej badania nad tym, jakiego polityka i jakiej polityki oczekujemy, to ludzie oczekują polityki rozsądnej i rzeczowej, nie emocjonalnej. Więc politycy trochę wbrew oczekiwaniom dużej części społeczeństwa zapewniają nam udział w festiwalu emocji.

Wychodzi na to, że wyborcy są mądrzejsi niż się to wydaje politykom.

Myślę, że tak. Chcą rozumieć politykę, obserwować rzeczową argumentację, a nie wyłącznie polityczne emocje, które politycy z taką lubością nam fundują.

ORKA PRZYPLYNIE ZE SZWECJI

Polska wybrała Szwecję jako partnera do programu Orka - pozyskania nowych trzech okrętów podwodnych dla Marynarki Wojennej RP

Robert Szulc, Dawid Kamizela

Ten wybór emocjonował opinię publiczną od dawna. W grze było kilka okrętów podwodnych, bo program Orka od dekad jest jednym z najważniejszych i najbardziej problematycznych przedsięwzięć modernizacyjnych SZ RP.

Premier Donald Tusk zapewnił, że zakup nowych okrętów podwodnych będzie oznaczał także inwestycje w polski przemysł stoczniowy. - W Polsce okręty będą naprawiane w razie potrzeby; wszystko z udziałem polskiego przemysłu - zapowiedział. Zaznaczył też, że nie będzie trzeba czekać ze szkoleniem.

- Mamy gwarancje możliwości szkolenia na zasadzie „gap filler” - okręt identyczny jak ten, który zakupimy, na którym będzie się można od razu szkolić, żeby nie marnować czasu - powiedział Tusk.

Władysław Kosiniak-Kamysz zadeklarował, że jeszcze w tym roku dojdzie do podpisania umowy międzyrządowej w tej sprawie.

Oferta Szwecji bazuje na okrętach produkcji Saab Kockums - to tzw. projekt A26.

Ambasador Szwecji: Potrzebujemy Polski

- Potrzebujemy Polski na Morzu Bałtyckim - powiedziała ambasador Szwecji w Warszawie

Martina Quick po ogłoszeniu decyzji polskiego rządu o zakupie szwedzkich okrętów podwodnych. Dodała, że polscy marynarze otrzymają do ćwiczeń jeden z okrętów, które obecnie są w szwedzkiej służbie.

W rozmowie z dziennikarzami ambasadorka stwierdziła, że to moment, który może zdefiniować relacje polsko-szwedzkie, już teraz mające charakter strategiczny. Podkreśliła rolę obu państw w zabezpieczeniu akwenów wspólnego morza. Jak oceniła, wyposażenie Polski w szwedzkie okręty pozwoli wyraźnie pogłębić współpracę obu marynarek wojennych i spowodować, że Szwecja i Polska staną się kluczowymi bałtyckimi potęgami.

Szwedzcy dyplomaci zaznaczyli, że szczegóły umowy będą dopiero dopracowywane między rządami. Ambasador wyraziła jednak nadzieję, że w najbliższym czasie zostanie podpisane porozumienie międzyrządowe. Podkreśliła też, że wybór szwedzkiej oferty będzie się wiązał z intensyfikacją polsko-szwedzkiej współpracy w dziedzinie obronności - nie tylko poprzez wzajemne zakupy swoich produktów, ale także np. wspólnych projektów polskich szwedzkich producentów sprzętu.

Quick wskazała też, że Szwecja oferuje Polsce rozwiązanie

pomostowe, które pozwoli polskim marynarzom szkolić się jeszcze przed dostawami nowych okrętów.

Kosiniak-Kamysz mówił wcześniej, że w planach jest udostępnienie im w 2027 roku innego okrętu podwodnego do szkoleń. Ambasador doprecyzowała, że chodzi o jeden z okrętów podwodnych, które obecnie są wykorzystywane przez Svenska Marinen.

Obecnie Szwecja dysponuje okrętami dwóch typów - trzema okrętami A19 klasy Gottland oraz jednym A17 klasy Södermanland; są to „przodkowie” powstających obecnie A26. Jeden z nich - nie jest jeszcze jasne, czy A17 czy któryś z nowszych A19 - miałby zostać przekazany do zadań szkoleniowych polskich marynarzy.

Są też kontrowersje

Decyzja ta zamyka kolejny etap z jednego z najdłuższych ciągnących się procesów modernizacyjnych Marynarki Wojennej.

Budzi jednak mieszane reakcje, zwłaszcza w kontekście wieloletnich sięgających niemal dekady opóźnień i znaczącego wzrostu kosztów po stronie szwedzkiego programu. Z informacji przedstawionych podczas konferencji wynika, że to jedyna oferta, która formalnie spełnia wszystkie wymagania - włącznie z harmonogramem dostaw,



Obecnie Szwecja dysponuje okrętami dwóch typów - trzema okrętami A19 klasy Gottland oraz jednym A17 klasy Södermanland

co samo w sobie może zaskakiwać, biorąc pod uwagę historię projektu A26.

Szwecja zadeklarowała najszerszy pakiet transferu technologii, obejmujący zdolność do prowadzenia pełnego utrzymania i remontów (MRO) okrętów w krajowym przemyśle stoczniowym i obronnym. Złożono również obietnicę zakupu polskiego uzbrojenia dla własnych sił zbrojnych - oprócz już zamówionych Piorunów z Mekska Szwecja zadeklarowała chęć pozyskania w Polsce okrętu ratowniczego. Marynarze dywizjonu Okrętów Podwodnych mają rozpocząć szkolenia w Szwecji już w 2026 roku, a tzw. gap-filler - tymczasowa jednostka podtrzymująca zdolności - ma pojawić się u polskich marynarzy na początku 2027 roku i służyć do 2030 roku.

Wybór szwedzkiej oferty nie jest pozbawiony istotnych znaków zapytania, koncentrujących się głównie wokół problemów szwedzkiego przemysłu z terminowością.

Program budowy szwedzkich okrętów podwodnych A26 rozpoczął się w 2015 roku i już od samego początku był przedstawiany jako ambitny projekt mający przywrócić krajowemu przemysłowi zdolność konstruowania nowoczesnych jednostek podwodnych. Kontrakt podpisano 30 czerwca 2015 r.

między FMV a Saab Kockums opiewała na 8,6 mld koron i zakładała dostawę dwóch okrętów w latach 2022 i 2024. Jeszcze w tym samym roku odbyło się cięcie blach, potwierdzające, że projekt wchodzi w fazę realnej budowy.

Harmonogram zbyt optymistyczny?

Niedługo później zaczęły jednak pojawiać się pierwsze sygnały, że pierwotny harmonogram był zbyt optymistyczny. W dokumentach publikowanych już około 2019 roku terminy dostaw przesunięto na lata 2024-2025. Zmiana nie była spektakularna, ale pokazywała, że infrastruktura stoczniowa Kockmusa w Karlskronie i proces przygotowania do kolejnych faz budowy wymagają więcej czasu, niż zakładano. Początkowe opóźnienia tłumaczono koniecznością odbudowy kompetencji przemysłu, który od lat 90. nie budował nowych jednostek tej klasy.

Kolejny znaczący punkt zwrotny nastąpił w 2021 roku. 27 sierpnia podpisano aneks, który przesunął odbiór okrętów na lata 2027 i 2028. Jednocześnie koszt programu wzrósł do około 14 mld koron. Argumentowano to zmianami w wymaganiach technicznych, zwiększeniem możliwości projektowanych jednostek oraz koniecznością moder-

nizacji stoczni. W czerwcu 2022 roku uroczystie położono stępkę pod pierwszy okręt, co miało potwierdzić, że mimo problemów prace faktycznie posuwają się naprzód.

Rok z niepokojącymi informacjami

Rok 2025 przyniósł jednak kolejne niepokojące informacje. Wiosenne doniesienia szwedzkich mediów wskazywały, że program notuje kolejne opóźnienia i że realny termin dostaw przesuwają się już nie o lata, ale o całą dekadę względem pierwotnych planów. Potwierdzeniem tych obaw była nowa umowa zawarta 13 października 2025 r. między FMV a Saabem. Zaktualizowany harmonogram określał daty odbioru na 2031 i 2033 rok, co oznaczało opóźnienie sięgające w sumie około dziesięciu lat w stosunku do planu z 2015 roku. Jednocześnie koszt całego przedsięwzięcia wzrósł do około 25 mld koron, czyli ponad trzykrotności pierwotnej kwoty.

W kolejnych latach, aż do początku lat 30., mają być realizowane ostatnie etapy budowy, dostawy podzespołów oraz integracja systemów pokładowych. Oznacza to, że program A26 - choć oficjalnie kontynuowany - znajduje się daleko poza zakładanym pierwotnie harmonogramem.

AUTOREKLAMA

0011430402

Jesień

to dobry czas na odkrywanie

- Podróż po miastach
- Smaki kulinarne regionu
- Weekend w SPA i termach
- Aktywny wypoczynek
- Jeszcze jedna historia

stronapodrozy.pl/przewodnik

nibyartysta,

nibygoty,

nibyludowy,

nibyorientalny,

nibyromantycznie;

nibystona,

nibyjagoda,

nibyktoś,

nibyliście,

nibynóżki,

nibytorebka

PULS
#192

Reforma nie na niby.
Wchodzą zmiany
w ortografii STR. 16

Arlena Sokalska

ZDRADZIECKA MISJA
DYPLOMATOŁKÓW

Im więcej wiemy o tzw. pokojowym planie Trumpa dla Rosji i Ukrainy, tym bardziej chce się zakrzyknąć za Robertem Lewandowskim: „Le cabaret” – jak nasz najlepszy piłkarz skomentował kiedyś wyniki plebiscytu „France Football”. A z drugiej strony na myśl przychodzi określenie „dyplomatołki”, ukute niegdyś przez Władysława Bartoszewskiego.

Gdyby sekretarz stanu USA Marco Rubio znał to słowo, z pewnością użyłby go na określenie dwóch amerykańskich „mistrzów” dyplomacji: Steve’a Witkoffa oraz Jareda Kushnera, zięcia Donalda Trumpa, którzy otrzymali od przedstawiciela Kremla Kiryła Dmitriewa 28 punktów spisanych po rosyjsku, dość nieudolnie przetłumaczyli na amerykański angielski i zaprezentowali swojemu szefowi jako „genialny plan pokojowy”. Trump ponoć nawet planu nie przeczytał, bo był zajęty grą w golfa. Ale też nie posłuchał Witkoffa, który miał go namawiać na zdjęcie sankcji z Łukoila i Rosnieftu, a to było głównym celem Dmitriewa – z tą misją od Putina dyktował ów plan swoim amerykańskim kolegom.

Ponadto Witkoff beztrząsco rozmawiał z doradcą Putina Jurijem Uszakowem, mastodontem rosyjskiej polityki zagranicznej, i tłumaczył mu, jak rozmawiać z Trumpem, by zyskać jego przychylność. Cóż, nic nowego pod słońcem – już cały wie świat, że należy obchodzić się z nim jak z niegrzecznym dzieckiem, które lepiej obłaskawiać, bo inaczej grozi nam karczemna awantura, tupanie nogami i wymachiwanie rękoma, a przy okazji uciepieć może jeszcze zastawa stołowa.

Tę lekcję – po słynnej awanturze w Gabinetie Owalnym – doskonale pojęli Ukraińcy. Po tym jak ujawniono owych napisanych cyrylicą 28 punktów, zachowali kamienną twarz i zapewnili, że są wdzięczni Trumpowi za inicjatywę (warunek konieczny!) i należy tylko jeszcze tylko ów plan dopracować. I tu pojawił się Marco Rubio, który doskonale wiedział, że ten plan to absolutny wstyd dla Ameryki, ale również robił dobrą minę do złej gry i popracował ze stroną ukraińską w Genewie nad zmianą zapisów. Przy czym, jak donosili dziennikarze obsługujący ten szczyt, bardzo uważał, by nie zostać dopisanym do grona „dyplomatołków”, ale też i nie za bardzo krytykował kolegów, by z kolei nie narazić się na gniew Trumpa (bo też przy okazji tego całego zamieszania stało się jasne, że w amerykańskiej administracji toczy się walka buldogów pod dywanem na linii Rubio – J. D. Vance, związana z ewentualnym namaszczeniem na następcę Trumpa).

Z kolei przywódcy europejscy bardzo uważali na to, by w żaden sposób nie zmienić narracji, że cały czas omawiany jest „pokojowy plan Trumpa”, bo gdyby z nazwy wypadło nazwisko, prezydent USA mógłby natychmiast się z niego wycofać.

I tak mamy plan liczący 19 punktów, a nie 28, i dalsze rozmowy. Rozmowy, które nigdzie nas nie zaprowadzą. Przede wszystkim dlatego, że wojnę w Ukrainie można zakończyć tylko na Kremlu, a Putin nie biera się, by to uczynić. Nie ma pewności, czy Rosja byłaby gotowa podpisać nawet pierwotną wersję planu, napisaną de facto na Kremlu. A pewnością nie zrobi tego z jego nową wersją.

Wszystko dlatego, że na razie wojna jest na rękę Putinowi. Jak napisał w liście do Trumpa rosyjski (ale mieszkający w USA) reżyser i pisarz Edward Topol, Putin nie doprowadzi do zakończenia wojny w Ukrainie nie dlatego, że nie chce, ale dlatego, że nie może. A nie może dlatego, że koniec wojny mógłby oznaczać koniec reżimu Putina, jak wojna w Afganistanie była początkiem końca ZSRR.

Dlatego mamy cały ten dyplomatyczny „Le cabaret”, a końca wojny nie będzie.

Adam Bula

MODLITWA O NOWY CUD
WIGILIJNY

Ogłupiały jazgot, jako forma ekspresji, która całkowicie zdominowała naszą przestrzeń publiczną, wywała właśnie skalę. Dziś mogę wytrzymać kilka minut śledzenia, np. w socjalach, wpisów polityków tylko dlatego, że ten wulgarny potok litościwie przetykany jest fotkami kotków i piesków, zbiórek na ich ratowanie i radosnymi newsami, jeśli się to udaje.

I to może być zarys strategii przetrwania. Rozumiecie: na czasie są teraz informacje, co robić w sytuacji zagrożenia i co spakować w plecaku ewakuacyjnym. A nie ma szkoleń, jak przetrwać, gdy radykalna większość czynnych polityków w europejskim kraju średniej wielkości dostaje małpiego rozum. I zalewa nas szczekaniem, jakiej nie powstydziłby się wiejski burek na widok kota sąsiada.

Programów z udziałem polityków w telewizjach od dawna nie daje się już oglądać, a właściwie słuchać, bo nic nie słysząc, gdy strony sporu upierają się mówić jednocześnie, na co nakłada się pojękiwanie prowadzących apelujących, by tak nie robić. Ich nieskuteczność jest zresztą oszałamiająca – marzę o programie z politykami, który będzie prowadził jakiś sierżant od musztry. Sensu w tym nie będzie więcej, ale przynajmniej będzie wiadomo, kto i o czym akurat bredzi.

Spokojniej jest w programach, gdzie politykę komentują publicyści, bo tutaj zbierają się ludzie, którzy się generalnie ze sobą zgadzają. Jak od święta np. w TVN24 – „Łoża prasowa” się to nazywa – znajdzie się ktoś mający nieco inne zdanie, czujnie prowadząca Małgorzata Łaszczyk puentuje wypowiedź outsidera tak długo, aż nie naprostuje do jedynej słusznej linii.

Choć tam to jest robione kulturalnie – po drugiej stronie ton nadal nadaje program o nazwie „Salon Dziennikarski”, prowadzony od lat przez braci Jacka i Michała Karnowskich. Kiedyś zarabiali na tym porządnie, bo korzystali z anteny TVP-PiS, dziś pozostała im tylko „własna” telewizja „wPol-sce”. Znakiem firmowym tego programu był fakt, że bracia zapraszali do siebie jako „publicystów” podwładnych z własnej redakcji.

W innej lidze gra „TV Republika”. To osobne uniwersum, gdzie arystotelesowska logika ma za-

kaz wstępu na stałe. „Kanał Zero” Krzysztofa Stanowskiego, wielka nadzieja na zmianę, dziś formatuje się z kolei na Republikę w wersji soft. A Polsat, jak zwykle, nie bardzo wie, co ma robić, żeby nikomu się nie narazić.

Kłopot w tym, że tego bazowego sabatu politycznych naganiaczy nie da się ominąć, bo co większe kwiatki wlewane są hurtem do social mediów.

Więc czym żyje kraj ostatnio?

Tusk do dymisji, bo w Angoli na lotnisku wysiadł w pomiętej koszuli, choć witała go warta honorowa. Za to Nawrocki na króla, bo ten miał wizytę w Czechach i ślicznie był ubrany. A Tuska wygnali do Afryki, bo nikt z ważnych europejskich polityków się z nim nie liczy. Że pojawili się oni za Tuskiem w Luandzie chwilę później, bo akurat był tam szczyt Unia Europejska – Unia Afrykańska? – a kogo obchodzą szczegóły.

A że Nawrockiemu w Pradze poszło, zdaniem gospodarzy, raczej średnio – a kto czyta po czesku? Przecież zrobił „epokowy” wykład po angielsku na Uniwersytecie Karola o tym, jak posprząta złą Unię. Samego wykładu wam nie puścimy, bo może jeszcze ktoś zna angielski i cały efekt pójdzie w ...

A jeszcze są wygnani węgierscy, którzy w nerwach wypacają coraz dłuższe odezwy, jak to wszystkich załatwia, jak tylko wrócą. No ale na razie nie wrócą, bo ten oszalały z zemsty Tusk wysłał siepaczy do samego Ojca Rydzyka i teraz każdy polityk, który się u niego latami kiwał na mszach, musi się odwinąć na Tuska w jego obronie.

A zawsze od razu na najwyższej skali, bo nasi politycy nie potrafią w stopniowanie przymiotników. Wszystko od razu jest najgorsze i katastrofalne, skutkiem czego Naród nasz katolicki kona codziennie w okrutnych konwulsjach.

A dopiero odpalamy kolejną fazę – tu akurat prym wiodą politycy Konfederacji – szczucia wprost opartego na filmikach generowanych przez AI (agresywny, półnagi murzyn na mszy w kościele). I znów, jak kiedyś przy słynnych „paskowych”, pozostaje nam gorzka zgadywanka: czy to możliwe, by oni byli tak głupi, czy robią z nas głupków na chłama.

Proponuję przemyśleć to, zagryzając czekoladkami z promowanego – w podobno porządnej już telewizji publicznej – kalendarza adwentowego z politykami PiS, którzy powinni trafić do więzienia.

I doczołgajmy się tak do świąt. I może pomódlmy się wtedy o cud: niech gadające zwierzątka zostaną z nami na dłużej, a oniemiałych polityków wstawimy do stajni. Skoro i tak robią tylko gnój...

Fala sankcji Zachodu ograniczyła zasoby Rosji, a ponieważ presja pozostaje jedynym językiem, na jaki Rosja reaguje, będziemy ją nadal zwiększać, dopóki nie pojawi się prawdziwa wola zaangażowania w pokój

AI dla każdego – praktyczne kursy, które otwierają nowe możliwości

Rynek pracy w Polsce wchodzi w erę sztucznej inteligencji – i to szybciej, niż można by się było spodziewać. Już dziś firmy wdrażają AI w swoich procesach, a z raportu Microsoft Work Trend Index 2025 wynika, że aż 84% liderów biznesowych planuje w ciągu roku wprowadzić agentów AI. Co więcej, ponad połowa pracodawców (53%) deklaruje, że nie zatrudni osoby bez umiejętności korzystania z tej technologii. Tymczasem młodzi Polacy korzystają z AI na co dzień – robi to 97% z nich, ale tylko 12% czuje się przygotowanych do pracy z jej wykorzystaniem. To pokazuje jedno: sztuczna inteligencja nie jest już przyszłością, lecz teraźniejszością, a kompetencje cyfrowe stają się przepustką do kariery. AI może ułatwiać także codzienne życie – od planowania zadań po tworzenie treści – dlatego warto się jej uczyć. Jak? Mądrze i bezpłatnie, dzięki inicjatywom realizowanym przez uznane instytucje i partnerów technologicznych, gwarantujących rzetelną i nowoczesną edukację.

Jak zacząć przygodę z AI?

Skoro sztuczna inteligencja staje się kluczową kompetencją na rynku pracy i w codziennym życiu, warto wiedzieć, gdzie można zdobyć tę wiedzę w praktyczny sposób. Jednym z ciekawych rozwiązań jest program „Przyszłość zaczyna się dziś”, przygotowany przez renomowaną organizację edukacyjną Digital University, która od lat popularyzuje wiedzę o nowych technologiach i wspiera rozwój kompetencji cyfrowych w Polsce. Kurs wprowadza uczestników w świat sztucznej inteligencji, w sposób praktyczny pokazując, jak wykorzystać AI zarówno w pracy, jak i w codziennym życiu. Uczestnicy mogą eksperymentować, realizować własne projekty i poznawać narzędzia, które ułatwiają organizację zadań, analizę danych czy tworzenie treści. Choć program jest dostępny dla wszystkich, szczególnie kierowany jest do nauczycieli, dyrektorów szkół, uczniów oraz uchodźców z Ukrainy. Od grudnia pojawiają się dwie nowe ścieżki: wersja w języku ukraińskim oraz kurs poświęcony wykorzystaniu AI w biznesie i codziennych



czynnościach. To odpowiedź na rosnące zapotrzebowanie na kompetencje, które pozwalają sprawniej prowadzić firmę, pracować z dokumentami i korzystać z technologii w praktyce.

AI w projektach społecznych – młodzi tworzą realne zmiany

AI ma praktyczne zastosowania nie tylko w biznesie – młodzi ludzie używają jej, by zmieniać rzeczywistość. Program „AI w projektach społecznych” to przykład, jak technologia wspiera inicjatywy od edukacji ekologicznej po walkę z dezinformacją. Realizowany przez Fundację Zwolnieni z Teorii we współpracy z Microsoft, kurs dostępny na platformie zwolnienizteorii.pl opiera się na praktycznych ćwiczeniach i pokazuje, jak korzystać z AI z głową: traktować ją jako asystenta, krytycznie analizować treści i projektować rozwiązania z myślą o człowieku. Uczniowie przygotowują własne projekty społeczne,

a sztuczna inteligencja pomaga im radzić sobie z trudnościami na każdym etapie realizacji. Nowością jest grywalizacja, która ruszy w styczniu 2026 roku i pozwoli szkołom zdobywać punkty za ukończenie kursu „AI w edukacji”. Najlepsze zespoły odwiedzą warszawskie biuro Microsoft, by poznać kulisy pracy w globalnej firmie i przyswoić technologie w edukacji. To inicjatywa, która łączy naukę z praktyką i pokazuje, że sztuczna inteligencja może być narzędziem realnej zmiany społecznej.

Technologia dla lokalnych społeczności

AI coraz częściej wspiera działania lokalnych organizacji, które potrzebują prostych i skutecznych narzędzi do pracy. Jednym z przykładów jest kurs „Wprowadzenie do AI z Microsoft”, realizowany przez Fundację Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego w ramach programu Sektor 3.0. To inicjatywa skierowana do organizacji takich,

jak OSP, harcerze czy koła gospodyń, które na co dzień potrzebują rozwiązań ułatwiających komunikację, tworzenie materiałów, rozliczanie projektów czy organizowanie wydarzeń. Technologie oparte na sztucznej inteligencji idealnie odpowiadają na te potrzeby, zwiększając efektywność i oszczędzając czas. Program oferuje nie tylko kursy online, ale także szkolenia stacjonarne w małych miejscowościach i gminach. Zajęcia prowadzone są przez trenerów Fundacji przy wsparciu zespołu Microsoft Data Center, co gwarantuje wysoki poziom merytoryczny i praktyczne podejście. Dzięki takim inicjatywom AI staje się narzędziem, które wspiera rozwój lokalnych społeczności i realnie rozszerza wachlarz ich możliwości.

Bezpieczna szkoła przyszłości – program dla szkół

Nauczyciele, pedagodzy i uczniowie mogą zdobywać

wiedzę o sztucznej inteligencji dzięki programowi „Nauka z AI. Ucz, twórz i chroń – z AI w bezpiecznej szkole przyszłości”, przygotowanemu metodycznie przez Microsoft, z myślą o Zintegrowanej Platformie Edukacyjnej Ministerstwa Edukacji Narodowej. Program oferuje trzy specjalistyczne kursy: „Metodyczne wykorzystanie wybranych narzędzi sztucznej inteligencji”, „Edukacja matematyczna w oparciu o wybrane narzędzia AI” oraz „Cyberbezpieczne środowisko w szkole”. Materiały zostały opracowane z udziałem polskich nauczycieli, co gwarantuje ich wysoką jakość i zgodność z potrzebami szkół. Wkrótce każdy pedagog w Polsce będzie mógł skorzystać z kursów poprzez Zintegrowaną Platformę Edukacji (ZPE), a już dziś dostępna jest „rozgrzewka”, czyli wyzwanie, w którym można zdobyć wiedzę z zakresu krytycznego myślenia

w serwisie [Microsoft Learn](https://microsoft.com/learn). To inicjatywa, która nie tylko rozwija kompetencje cyfrowe, ale także uczy bezpiecznego i odpowiedzialnego korzystania z technologii w edukacji.

Dlaczego warto zacząć już teraz?

Darmowe kursy i programy edukacyjne to realna szansa na zdobycie umiejętności, które już dziś są potrzebne w pracy i w codziennym życiu. Dzięki nim nauczyciele, uczniowie, lokalne organizacje czy osoby aktywne zawodowo mogą w prosty sposób poznać narzędzia AI i nauczyć się korzystać z nich odpowiedzialnie. Warto zacząć od jednego z dostępnych kursów – online lub stacjonarnie – i sprawdzić, jak sztuczna inteligencja może ułatwić planowanie, tworzenie treści czy realizację projektów. To praktyczny krok w stronę kompetencji przyszłości, który każdy może zrobić już teraz.

Co Pani sobie pomyślała, kiedy usłyszała o reformie, która będzie obowiązywać od 1 stycznia 2026 roku?

Zależy, o jakie zmiany chodzi. W przypadku zapisów przedrostka „super-” z rzeczownikami, przymiotnikami i przysłówkami pomyślałam: „W końcu!”. Apelowalam o to, prosiłam od dłuższego czasu. Mówiłam, że to martwa zasada, bo łącznie ten przedrostek zapisuje garstka osób, więc zmiana wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Sugerowałam, żeby nie rezygnować z tej łącznej pisowni, akurat mnie jest ona bliska, tylko żeby wprowadzić wariantowość i dać możliwość zapisywania i tak, i tak. Natomiast zaskoczona byłam tym, że będziemy teraz zapisywać „nie” z przymiotnikami w stopniu wyższym i najwyższym łącznie. Z jednej strony wiem, że prawie nikt nie pisał na przykład „nie najlepszy”, czyli „nie” oddzielnie, ale z drugiej strony akurat ja tak robiłam i było to dla mnie naturalne. Nie ukrywam, że z trudnością przyjdzie mi przestawianie się od 1 stycznia 2026 roku na nowy zapis i to jedyny poprawny.

A jeśli chodzi o zapisywanie nazw mieszkańców miast i dzielnic wielką literą?

W tym wypadku czułam, że należy to zmienić, bo wiele osób odczuwa silniejszą więź ze swoją miejscowością, z miastem, z dzielnicą niż z całym regionem. Skoro nazwę mieszkańca całego regionu pisaliśmy wielką literą, to uważam, że nazwę mieszkańca miasta też należałoby tak zapisywać. Tym bardziej że nazwy miast i miejscowości zapisujemy dużą literą, to dla czego mieszkaniem miałyby być pisane małą? Uważam więc, że jest to dobra zmiana. Podkreśla nasz emocjonalny związek i emocjonalny stosunek do miejsca, z którego pochodzimy. Uważam, że przestawienie się na tę nową pisownię będzie akurat dość łatwe.

Czy ta reforma, Pani zdaniem, będzie jakimś przewrotem kopernikańskim, czy raczej uporządkowaniem tego, co już dawno powinno zostać spisane, skoro i tak pisaliśmy w ten sposób w codziennych tekstach czy w mediach?

To jest próba nadążenia za tym, co realnie dzieje się w języku, więc żadna to rewolucja. Tak jest w przypadku przedrostka „super”, „nie” z przymiotnikami czy ze zdaniem: „Gdyby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała” - bardzo mało osób wiedziało, że „toby” zapisujemy łącznie (od 2026 roku oddzielnie). Lata temu zwróciłam uwagę na to, że „tuż-tuż” zapisujemy z łącznikiem, a „puk, puk” z przecinkiem. Nie rozumiałam dlaczego. Gdy otworzyłam listę zmian, które nas czekają od stycznia, dowie-

Od 1 stycznia 2026 roku będziemy pisać „Warszawianka” wielką literą, a „nie” z przymiotnikami w stopniu wyższym łącznie. To nie rewolucja, tylko dogonienie tego, co się dzieje w języku – mówi Paulina Mikuła, popularyzatorka wiedzy o języku polskim, twórczyni profilu „Mówiąc inaczej” i autorka „Prostego poradnika językowego”. Co zmieni się w pisowni?

Anita Czapryn



Paulina Mikuła: Te zmiany to jest próba nadążenia za tym, co realnie dzieje się w języku, więc żadna to rewolucja

PAULINA MIKUŁA: JĘZYK TO NASZ DOBROSTAN. REFORMA PORZĄDKUJE ZASADY PISOWNI

działam się, że pary wyrazów typu „puk puk”, „pif paf”, „trzask prask” będziemy mogli zapisywać na trzy różne sposoby. I w końcu to ma sens, w końcu jest logiczne. Uważam więc, że wiele tych zmian to jest, po pierwsze, próba nadążenia za tym, co się realnie w ję-

zyku dzieje, a po drugie, te zmiany spowodują, że nasza ortografia będzie bardziej spójna i logiczna. Niektórzy językoznawcy zwracają uwagę, że pewna zmiana dotycząca wyrazów takich jak „miłoszowski”, „miłoszowy” albo „Miłoszowy”, wprowadza trochę za-

mieszania, bo niekiedy teoretycznie będzie można zapisywać i tak, i tak. A ktoś może pomyśleć, że powinniśmy obowiązywać zapis tylko małą literą i uznać, że popełnił błąd. Wiem jednak, że językoznawcy słuchają różnych uwag i je uwzględniają, bo na przykład

Rada Języka Polskiego jeszcze 7 listopada wycofała się z jednej zmiany dotyczącej zapisu nazw typu „pustynia Gobi”, „jezioro Gopło”. Być może więc zrozumiemy, że jeśli chodzi o końcówki „-owy”, „-owski”, zasada nie do końca jest jasna. Mam na myśli to, że do niektó-

rych nazwisk można dodać zarówno końcówkę „-owy”, jak i „-owski”. Po zmianach w przypadku „-owski” będziemy stosować pisanie małą literą, a w przypadku „-owy” poprawny będzie zapis i taki, i taki. To nie do końca jest jasne i wprowadza trochę wątpliwości. Być może tak zostanie, a być może językoznawcy wysłuchają uwag dotyczących akurat tej zmiany.

Jak Pani myśli, kogo ta reforma najbardziej zabolí: nauczycieli, osoby zajmujące się korektą i redakcją w wydawnictwach, samych maturzystów, czy w ogóle ludzi takich jak Pani, która będzie musiała już setny raz tłumaczyć, że teraz to już naprawdę piszemy razem?

Moim zdaniem dobrze byłoby, żebyśmy dali sobie czas na przyswojenie tych zmian i nie biczowali się za to, że ktoś na przykład cały czas używa dawnej pisowni. Niech to będzie kilka miesięcy, może rok tolerancji i akceptacji, że może występować i taka, i taka pisownia, zanim ludzie się przestawią. Ale rzeczywiście to nie do końca dotyczy redaktorów książek, więc moim zdaniem najtrudniej będą mieli właśnie redaktorzy i korektorzy, którzy zajmują się tekstami publikowanymi. Tam będzie już trudniej stary zapis uzasadnić i obronić. Moim zdaniem trudne zadanie przed nauczycielami, którzy będą musieli te zmiany wytłumaczyć przerażonym uczniom. Ci zapewne przeżyją szok związany z tym, że to, czego dawniej się uczyli, jest już nieaktualne. Myślę jednak, że nauczyciele przede wszystkim powinni uspokajać uczniów. Zmian jest jedenaście, a część z nich naprawdę powoduje, iż zasady stają się bardziej intuicyjne i bliższe temu, jak realnie piszemy.

Mam nadzieję, że nie pójdziemy w tę stronę, żeby zrezygnować z używania interpunkcji, z czego młodzi ludzie praktycznie już zrezygnowali; niektórzy wręcz uważają, że kropka na końcu zdania ich obraża.

Nie, to się nie wydarzy. Zresztą obecne zmiany nie dotyczą interpunkcji, tylko ortografii, więc warto to zaznaczyć i oddzielić. A jeśli chodzi o kropkę na końcu zdania, to wynika to ze specyfiki mediów społecznościowych. Dla wielu osób psychicznie, psychologicznie kropka to „enter”. Czyli: jeżeli piszemy zdanie i je wysyłamy, to klikamy „enter” i to jest ta kropka. Dlatego jeśli postawimy kropkę dodatkowo, dla wielu osób to informacja, że na przykład jesteśmy zli albo rozczarowani. I to nie jest kwestia jakiegoś uproszczenia czy dziwactwa, tylko, moim zdaniem, kwestia głęboko psychologiczna. Myślę, że trzeba o tym rozmawiać. To, co się dzieje z językiem w związku

z internetem, mediami społecznościowymi i nową technologią, wymusza na nas komunikowanie swoich potrzeb. Na przykład informowanie: „Dla mnie kropka nie oznacza nic oprócz tego, że zakończyłam zdanie. Będę te kropki stosować, bo tak się nauczyłam i to jest dla mnie naturalne”. Wtedy druga osoba albo to przyjmie, albo nie przyjmie, ale ważne, że komunikujemy swoje potrzeby językowe – w taki sposób trzeba na to patrzeć.

Często Pani mówi i pisze, że język jest naszą wizytówką. Pamięta Pani taką sytuację, kiedy czyjeś słowa z jego wizerunkiem kompletnie się rozjechały?

Od razu przychodzą mi do głowy politycy, którzy mówią pięknie i gdy ich słuchamy, to może nawet im wierzymy, ale potem ich czyny mówią coś zupełnie odwrotnego. Jednak z moich doświadczeń wynika, że jeśli ktoś mówi poprawnie, barwnie, kwiecistie, płynnie, to jednak wykazuje się jakąś wrażliwością, uważnością. Zazwyczaj jest wykształcony, wiarygodny, kompetentny. Owszem, zdaje sobie sprawę z tego, że można mówić pięknie i być gburem, ale zazwyczaj kultura języka i kultura osobista idą w parze.

Na rynku ukazała się właśnie Pani najnowsza książka, „Prosty poradnik językowy”. Zainteresował mnie rozdział „Słowa i sformułowania, co do których zmieniłam zdanie”. Co było dla Pani największym językowym nawróceniem?

Nie wiem, czy największym, ale na pewno największym rozczarowaniem było odkrycie, że na studiach uczono mnie czegoś, co w ogóle nie jest prawdą. Mówiono nam, że „nie tylko... lecz także” to spójnik skorelowany i jeśli zaczynamy zdanie od „nie tylko”, to musimy postawić „lecz także” i nic innego. Językoznawcy, autorzy „Dobrego słownika” przeprowadzili małe śledztwo, a w zasadzie nawet nie musieli, bo ktoś inny już to wcześniej zbadał, i z tego śledztwa wynika, że nie ma takiej zasady. Prawdopodobnie powodem zamieszania jest pomyłka, błędna interpretacja słów innych językoznawców. Dlatego możemy powiedzieć zarówno „nie tylko..., lecz także...”, jak i „nie tylko..., ale także”, „nie tylko..., ale również...”, „nie tylko..., ale też...”. Po prostu wszystkie kombinacje są dozwolone. Pamiętam, że na studiach byłam dumna, że znam tę zasadę, że wiem, jak zapisać ten spójnik. Opowiadałam o nim wszystkim, ale nie na zasadzie agresywnego poprawiania, tylko ciekawostki. Po czym okazało się, że to nieprawda. Każdy może pisać, jak chce, możemy używać różnych wariantów. To był duży zwrot w moim przypadku. Inny przy-

kład! Zawsze uczono mnie, że mówimy „dostałam okresu”, czyli słowo „okresu” jest w dopełniaczu. Tak jak „dostałam gorączki”, „dostałam kataru”, bo to w pewnym sensie dolegliwość, a gdy dolegliwości łączymy z czasownikiem „dostać”, powinni być w dopełniaczu. Z czasem okazało się, że nie do końca tak jest. Zasada rzeczywistości jest taka, ale bardzo dużo kobiet, dziewczyn, w Polsce łączy ten czasownik z rzeczownikiem w bierniku, czyli mówią: „dostałam okres”. Dla niektórych forma „okresu” jest tu nienaturalna, dziwna, nie chcą też, żeby była im narzucana. Gdy czytałam takie głosy, rozumiałam tę potrzebę części kobiet i po prostu zmieniłam zdanie. Uznałam: „Okej, ja zostaję przy dopełniaczu, ale nie narzucamy tego dopełniacza wszystkim”. Jeżeli ktoś woli mówić „dostałam okres”, tak jak się „dostałam prezent”, bardzo proszę.

W książce pojawia się pojęcie prostego języka. Co dla Pani jest największym wyzwaniem: uprościć tekst czy powstrzymać się od fachowego żargonu, który niektórzy mogą uznać za przemądrzały?

Dla mnie akurat wdrażanie prostego języka jest dość naturalne, ponieważ zazwyczaj poruszam się w mediach społecznościowych, gdzie i tak ten prosty język intuicyjnie stosujemy. Gdy ktoś używa słów wielokrotnie złożonych, to trudniej się to czyta, chociaż niektórzy mają taki styl i takie pióro. Ale wiem, że w internecie o wiele bardziej sprawdzają się krótkie zdania i zwięzłe teksty, więc od dawna z prostego języka korzystam. Wydaje mi się jednak, że jeżeli chodzi o język urzędowy, kancelaryzmy, język prawny, to upraszczanie jest ogromnym wyzwaniem. Mimo wszystko uważam, że warto to robić. Kiedyś miałam spotkanie z policjantami i policjantkami, którym opowiadałam o prostym języku. Część z nich kręciła głową, dając sygnał, że nie da się zrezygnować z przyjętych form albo z takich konstrukcji jak: „do zdarzenia doszło” czy „powzięliśmy informację”. Moim zdaniem da się to wszystko uprościć. Tylko że w niektórych branżach ten słownik jest tak wrośnięty, tak zakorzeniony, że wdrożenie jakiegokolwiek zmiany będzie się wiązało z ogromnym wysiłkiem. No ale moim zdaniem warto. Tym bardziej że niekiedy prosty język to niezwykle prosta zmiana, na przykład zmiana kolejności tego, o czym piszemy. Gdy dostajemy informację o wyroku, to na początek dajmy informację, co się z tym wyrokiem stało, a dopiero potem, na podstawie jakiego paragrafu. Teraz często jest odwrotnie: „Na podstawie paragrafu...” i cała strona na ten temat, a dopiero na drugiej stro-

nie znajdzie się najważniejsza informacja, na przykład taka, że wyrok został uprawomocniony. Już zmiana kolejności spowoduje, że czytającemu będzie łatwiej i przyjemniej. Bo w prostym języku chodzi o to, żeby wszystkim było miło: i temu, kto pisze, i temu, kto czyta, i temu, kto mówi, i temu, kto słucha.

Gdzie jest granica między językiem prostym a prostackim? Kiedy słyszę to pytanie, zwykle wtedy przytaczam historię, którą podzielił się doktor Tomasz Piekot. Wyobraźmy sobie, że płyniemy łódką i nagle widzimy most z niskim prześłem. Jeżeli przeczytamy na nim napis: „Kryj ryj”, będzie to prostackie i wulgarnie. Jeżeli przeczytamy: „Uważaj na głowę” – to będzie prosty język. Uchylimy głowę i nie zderzymy się z przesłem. A jeżeli ktoś tam napisze: „Uwaga, szanowni państwo, informujemy, że most ma niskie prześło, prosimy o uchylenie...” – to zanim przeczytamy wszystko do końca, najpewniej z tym mostem się zderzymy.

Typowy błąd, który mnie razi, to nagminne „w każdym bądź razie”. Mówią tak i ludzie wykształceni, i niewykształceni. Z drugiej strony, właśnie dlatego, że język jest naszą wizytówką, to uważam, że fajnie jest mówić: „w każdym razie” albo „bądź co bądź”. Tak myślę. I właśnie w takim duchu napisana jest ta książka: że bezpieczniej, fajniej i lepiej mówić zgodnie z normą, ale też zależy, w jakiej sytuacji. Gdy występujemy publicznie albo jesteśmy w sytuacji oficjalnej, to tym bardziej.

Wróć jeszcze do jednego rozdziału z Pani książki: „Największe zagwozдки językowe”. Są takie zagwozдки, które dzielią pani odbiorców i nie ma szans ich pogodzić? Zagwozдки akurat nie dzieli, ale bardzo dzieli wariantywność. Na przykład fakt, że rozdziałem rejestry na rejestr wysoki, z którego korzystam w sytuacjach oficjalnych, i rejestr niższy, zarezerwowany dla kontaktów nieformalnych, i informuję, że na przykład „brać na tapet” to poprawna forma i jej bezpiecznie używać w tym wyższym rejestrze, ale w sytuacji, kiedy rozmawiam z koleżanką, kolegą, z najbliższymi, to absolutnie nic się nie stanie, jeżeli „weźmiemy coś na tapetę”. Bo ta „tapeta” jest bliższa naszym współczesnym realiom, temu, co nas otacza. Nikt z nas praktycznie nie używa tapetu, a tapetę każdy ma na komputerze. Ale zauważyłam, że bardzo dużo osób, jak tylko pojawia się informacja, że można pisać i tak, i tak, że można wybrać, reaguje alergicznie, jakby coś strasznego działo się z językiem. Może

szkoła nas nauczyła, że tylko jedna odpowiedź jest poprawna i dzięki temu ludzie czują się bezpiecznie, czują, że rozumieją świat. Nie pamiętam, czy w książce to wybrzmiało, ale coraz częściej słyszę, że reagowanie niezgodą na błędy językowe bywa nazywane klasizmem; umniejszaniem, próbą zdyskredytowania drugiej osoby ze względu na to, że popełnia błędy. Na pewno zaś wspominałam o tym, że istnieje coś takiego jak dobrostan językowy. To robocze określenie, które stworzył językoznawcy, ale ono pięknie oddaje istotę rzeczy. Nauczyliśmy się tego, że poprawna forma jest taka, a nie inna, więc kiedy ktoś nagle zaburza ten obraz, tę bańkę, w której czujemy się bezpiecznie, to w nas coś się uruchamia, pojawia się zdziwienie, a nawet sprzeciw: „Nie, tak się nie mówi”. Domyślam się, że niektórzy wytykają błędy po to, żeby samemu poczuć się lepiej. Ale są też tacy, którzy mówią: „Kocham mój język, jestem z nim związana i nie chcę, żebyśmy odchodzili od tych form”. To też trzeba zrozumieć. Warto powtarzać, że to nie zawsze jest klasizm, nie zawsze próba upokorzenia kogoś, tylko czasem zadbanie o własny dobrostan językowy. A jeśli chodzi o internet, to apelowałam, żeby, jeśli już ktoś musi zwrócić uwagę, robić to w wiadomości prywatnej, a nie w komentarzu na forum. Wczoraj dostałam wiadomość od pana, który napisał do mnie właśnie prywatnie i zaczął tak: „Piszę wiadomość, żeby cię nie urazić, ale w jednym z filmów powiedziałaś [kafort], a nie [komfort] i chciałem ci na to zwrócić uwagę”. Wtedy wysłałam mu link do słownika, w którym jest napisane, że wy-mawiamy to słowo na dwa sposoby. Po pierwsze, poczułam, że ktoś z delikatnością i troską do mnie napisał właśnie w wiadomości prywatnej, a nie w komentarzu. A po drugie, ja również, odpowiadając mu, nie upokorzyłam go publicznie, pisząc, że „można i tak, i tak”, więc się myli. Wymieniliśmy się informacjami w prywatnej korespondencji. Ja poczułam się komfortowo, nomen omen, i ta druga osoba również. Naprawdę nie zawsze mamy rację, zwracając komuś uwagę na błędy; czasami to nam brakuje wiedzy.

Miała Pani jakiegokolwiek obawy, że ktoś złapie Panią na błędzie, że zabraknie tematów, że ludzie się znudzą? Choć to ostatnie to chyba mało prawdopodobne? Tak, to jest worek bez dna. Język cały czas się zmienia, a zmienia się coraz szybciej, między innymi ze względu na język internetu, który jest bardzo dynamiczny i realnie wpływa na to, jak mówimy na co dzień. Będzie to więc nie-

kończąca się historia i będę się tym zajmować tak długo, na ile mi starczy sił. A jeśli chodzi o obawy, to jak najbardziej, od początku, w zasadzie od pierwszego filmu, jestem rozliczana z każdego słowa, każdego przecinka. Przeżywałam różne kryzysy, czasem nie miałam już siły, czułam się bardzo niekompetentna, nie dawałam sobie przestrzeni na błędy. A tych nie unikniemy, bo jesteśmy tylko ludźmi. Zaczynałam, mając 25 lat, ale dojrzałam i w pewnym momencie odpuściłam. Zaczęłam apelować o to, żeby tak bardzo nie krytykować innych za błędy, a jeśli już, to właśnie w wiadomości prywatnej, a nie na forum. Obawy jednak są: jakkolwiek post opublikuję, jestem rozliczana z najmniejszej wpadki. W przypadku postów sprawa jest prostsza, bo można je wyedytować. W przypadku książki, już niczego nie mogę poprawić. W wydawnictwie włożyliśmy maksimum pracy w to, żeby książka była dobrze zredagowana. Tyle że wciąż zajmowali się tym ludzie, nie roboty, więc mimo naszego wysiłku mogą się tam znaleźć jakieś niedociągnięcia, literówki. Teraz pracuję nad sobą, żeby być na to gotową i w razie czego nie biczować się za to, że nie jest perfekcyjnie.

Gdyby miała Pani wybrać jedno słowo z polskiego internetu z XXI wieku, z lat 20., które byłoby symbolem tej epoki, to jakie by było?

To chyba zależy od generacji. Na przykład w przypadku młodszych myślę, że takim słowem mógłby być „spiulkołot”. Po trzydziestce ludzie zaczynają doceniać wpływ drzemek na piękne i spokojne życie i taki „spiulkołot” mógłby być ważnym słowem. Zresztą z Dominikiem Więckiem, z którym od jakiegoś czasu tworzę rolki, zrobiliśmy kiedyś plebiscyt na Słowo Roku Osób Dziadziejących i tam „drzemka” miała bardzo dużo głosów, podobnie jak „Voltaren”, czyli środek na ból. A symbolem epoki mogłoby być słowo „jedność”, bo wiele razy pokazaliśmy, jak pięknie potrafimy się jednoczyć, i uodrodniliśmy, że możemy współpracować i się wpierać mimo dzielących nas poglądów, przekonań.

Ma Pani swoją wymarzoną małą poprawkę do reformy, jedną rzecz, którą dopisałyby pani do zasad? Szczerze powiedziawszy, miałam tylko dwie prośby i obie zostały uwzględnione, więc jestem w pełni usatysfakcjonowana. Bardzo się cieszę, że Rada Języka Polskiego wprowadziła różne opcje, że prawidłowo jest „i tak, i tak”. To bardzo dobry kierunek. I on wcale nie powoduje, że dyktanda będą nagle bardzo łatwe. Owszem, troszkę będą łatwiejsze

w przypadku słów typu „pif paf”, „trzask prask”, które będzie można zapisać na aż trzy sposoby, ale to nie jest tak, że w związku z tym, co Rada Języka Polskiego wprowadziła, ortografia została w pełni uproszczona i zasady przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jedyne, co mnie martwi, ale wydaje mi się, że to nigdy nie zostanie uwzględnione, to fakt, że bardzo dużo osób zapisuje „ożeż ty” przez „sz” na końcu. A tam są dwa „ż”, bo tam są dwie partykuły, jak w „niechżeż ktoś pomoże temu dziecku” – tam też są dwie partykuły „ż”, które wzmacniają przekaz. Obawiałam się, że ta reforma dopuści zapis przez „sz”.

To byłoby bez sensu.

To prawda! Zmiany ortograficzne nie mogą powodować, że rozsypuje nam się system językowy. Język to system, on musi mieć stabilną konstrukcję. W przypadku „ożeż” ten system moim zdaniem zostałby naruszony, bo zniknęłaby nam partykuła, która czemuś służy. W wymowie ona się ubezdziwiecznia, ale w zapisie musi być ta wzmacniająca partykuła, bo tu chodzi o wzmocnienie, a nie o „szumienie”. Dlatego uważam, że do tej zmiany nigdy nie dojdzie. To byłby ten o jeden krok za daleko. Mam nadzieję, że za naszego życia to się nie wydarzy. A potem? Niech się dzieje wola nieba.

CV



FOT. KUBA MARCHLEWSKI

Paulina Mikula
Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, autorka popularnego vloga na YouTube „Mówiąc Inaczej”. Autorka kilku książek o poprawności językowej. Ostatnio nakładem wydawnictwa Altenberg ukazał się „Prosty Poradnik Językowy. Mówiąc inaczej. Błędy zebrane”.



ŁÓDŹ SIĘ SMUCI, KRAKÓW SIĘ CIESZY. PRZEPROWADZKA KARDYNAŁA RYSIA

W polskim Kościele nadszedł czas wielkiej zmiany. Powszechnie lubiany i szanowany kardynał Grzegorz Ryś po ośmiu latach opuszcza arcybiskupi pałac w Łodzi, aby objąć metropolię krakowską po arcybiskupie Marku Jędraszewskim. Znacznie mniej lubianym. Co ciekawe, kardynał Ryś wcześniej także objął łódzkie arcybiskupstwo po Marku Jędraszewskim

Anna Gronczewska

Kiedy osiem lat temu papież Franciszek mianował obecnego kardynała Grzegorza Rysia metropolitą łódzkim, Kraków żegnał go łzami. Przez wielu był uważany za nadzieję nie tylko krakowskiego Kościoła. Ludzie pamiętali, jak jeździł po Krakowie rowerem, głosił piękne rekolekcje, nie wywyższał się. Teraz to w Krakowie otwierają szampany.

Artur Sporniak, publicysta „Tygodnika Powszechnego”, nie ukrywa, że nominację kardynała Grzegorza Rysia przyjął w Krakowie z radością.

- Bilans rządów arcybiskupa Marka Jędraszewskiego nie jest dobry - mówi Artur Sporniak. - Zostawił podzielony Kościół krakowski, księży, wiernych. Wbrew zaleceniom Watykanu wygłaszał polityczne kazania, opowiadając się po jednej stronie politycznej. Kardynał Grzegorz Ryś jest człowiekiem, który nie dzieli, a łączy.

Osiem lat w Łodzi kardynała Grzegorza Rysia odmieniło archidiecezję łódzką, choć on sam się nie zmienił. Dalej chodził w skromnej sutannie, polarze i dalej jeździł na rowerze. Nie ma nawet prawa jazdy. Grał z klerykami w piłkę nożną.

Kardynał spod Wawelu

Kardynał Grzegorz Ryś urodził się 9 lutego 1964 roku. Jest rodowitym krakowianinem. Wychował się na osiedlu Podwawelskim, jednym z krakowskich blokowisk budowanych w latach sześćdziesiątych. Jego nieżyjąca już mama Maria była farmaceutką, zmarła 15 kwietnia tata Franciszek - inżynierem.

Kardynał Grzegorz Ryś mówił, że w jego rodzinnym domu było skromnie, jednak mimo to rodzice starali się za wszelką cenę polepszyć życie swoich

dzieci i ciężko pracowali. Tata i mama metropolity łódzkiego uczyli swoje dzieci bardziej dawań niż brania. Jeśli coś zbywało, to nie wyrzucało się tego na śmieci, ale przekazywało tym, którzy mogli tego potrzebować. Kardynał wspominał wyjazdy z tatą nad jeziora, wspinaczki po górach.

- Imponowało mi, że choć starszy o trzydzieści lat ode mnie, przedzierał się przez te góry - mówił w jednym z wywiadów kardynał Ryś. - Raz poszliśmy z tatą na Orlą Perc i ojcu rozbiły się okulary. Wędrował przez te góry prawie nic nie widząc. Co jakiś czas wsadzał jedno ocalałe szkło, by podziwiać widoki.

Franciszek Ryś pochodził ze wsi Bałazówka w gminie Limanowa. Już jako dorosły człowiek skończył studia, został inżynierem.

- I mnie, i mojemu bratu ojciec zaimponował, kiedy już w bardzo dorosłym wieku robił studia - wspominał metropolita łódzki. - Myśmy byli wtedy w liceum obydwa i tata się nie wstydził zapytać, jak takie czy inne zadanie z matematyki się rozwiązuje. To w niczym nie przeszkadzało, wręcz pomagało, jeśli chodzi o autorytet.

Brat kardynała, Janusz, to profesor medycyny, Janusz nie tylko w Krakowie patomorfolog. Ordynariusz archidiecezji łódzkiej do szkoły poszedł jako sześciolatek.

Ewa Żuławska i Tomasz Guderski to koledzy z licealnej ławki odchodzącego metropolity łódzkiego. Chodzili do tej samej klasy w jednym z najlepszych krakowskich liceów, IV LO im. Tadeusza Kościuszki. Klasa miała profil matematyczno-fizyczny. Podkreślali, że naukę zaczęli w roku, w którym papieżem został Karol Woźtyła, potem był Sierpień 1980 roku. A gdy byli w klasie maturalnej,



Kardynała Grzegorza Rysia często można było zobaczyć na rowerze. Był inicjatorem tzw. Rowerowego Jerycha w Łodzi

ogłoszono stan wojenny. Grzegorz Ryś i jego koledzy nie mieli więc studniówki. Byli zgraną klasą, choć oczywiście o różnych temperamentach, talentach, wizji tego, co chcą robić w przyszłości. Do dziś utrzymują ze sobą kontakty.

- Mimo że chodziliśmy do klasy matematyczno-fizycznej, to stawiano duży nacisk na nauki humanistyczne - mówił nam Tomasz Guderski. - To sprawiało, że matematyka i historia szły ze sobą w parze.

Historyczna pasja

Tomasz Guderski zapewniał, że kardynał Grzegorz i inni koledzy z klasy czuli głód prawdziwej, a nie zakłamej historii, jakiej wtedy uczono w szkołach. Postanowili więc przy pomocy bardzo wymagającego nauczyciela tego przedmiotu, nieżyjącego już Włodzimierza Paleja, stworzyć swój własny

podręcznik prawdziwej historii. Grzegorz Ryś miał w tym swój duży udział.

- Drukowaliśmy go w tajnych drukarniach Niezależnego Zrzeszenia Studentów - wspominał Tomasz Guderski. - Przychodziliśmy nieraz na lekcje z rękoma wybrudzonymi farbą drukarską. Korzystaliśmy ze starych, wysłużonych powielaczy.

Już w liceum pasją Grzegorza Rysia była historia. Prof. Palej był surowym i wymagającym nauczycielem. Grzegorz Ryś należał do bardzo zdolnych i najlepszych uczniów w klasie. Starał się podołać wymaganiom nauczyciela historii.

- Grzegorz był zawsze bardzo zaangażowany w tematy historyczne, także te dotyczące historii Kościoła - wspominał Tomasz Guderski. - Pamiętam, że przygotował opracowanie dotyczące św. Stanisława ze

Szczepanowa. Zaraz po tym zainteresowała się nim Służba Bezpieczeństwa.

Koledzy twierdzą, że już w liceum kardynał Grzegorz cieszył się szacunkiem kolegów, choć może nie był duszą towarzystwa.

- Był bardzo otwarty, radośny, łatwo nawiązywał kontakt z drugim człowiekiem! - zapewniał Tomasz Guderski.

Ewa Żuławska dodawała, że był i jest towarzyską osobą. Lubił opowiadać różne ciekawe historie, był ciekawy świata.

- Nigdy nie był zarozumiały, na pewno nie zmieniły go zajmowane stanowiska - zapewniała Ewa Żuławska. - Miał charakter. Nie tak, że wszyscy kłęczeli przed nim, ale miał w sobie coś, co sprawiało, że ciągnął nas do góry.

Już w liceum Grzegorz zaangażował się w młodzieżowy ruch oazowy, został animato-

rem. Nie był jedynym w klasie. Do oazy należało wielu kolegów i koleżanek. Na swej drodze spotkał ks. Janusza Nanowskiego z parafii św. Józefa w Krakowie. Został on koordynatorem grup oazowych.

- Grzegorz wspominał, że on pierwszy zobaczył w nim kapłana, choć on sam o tym nie myślał - mówił Tomasz Guderski.

Ty do seminarium?

To, że po maturze poszedł do seminarium, było dla kolegów z klasy zaskoczeniem. Tomasz Guderski wspominał, że nie były to czasy, gdy wiele rozmawiało się o tym, co będzie się robić po maturze.

- Grzegorz był człowiekiem aktywnym w wielu dziedzinach życia - dodawał Tomasz.

- Wtedy myśleliśmy, że do seminarium idą ludzie, którzy tylko siedzą w kościele i się modlą. Choć wiele koleżanek i kolegów tak jak Grzegorz działało w ruchu oazowym w swojej parafii. A z naszej klasy do seminarium poszło czterech kolegów! Zdarzyło się to pierwszy raz w długoletniej historii naszego liceum! Dziś kapłanami jest dwóch - ks. Grzegorz i ks. Emil Furtak.

Ewa Żuławska wspominała, że żaden z nich nie wiedział o decyzji kolegi.

- Spotkali się na schodach w seminarium! - śmieje się pani Ewa.

Sam kardynał Ryś w wywiadzie, którego udzielił klerykom z krakowskiego seminarium, wspominał o momencie, kiedy zaczęło się rodzić jego powołanie. Był w klasie maturalnej, w Krakowie odbywały się antykomunistyczne demonstracje. Poszedł na pierwszą 3 maja. Na drugą, 13 maja, rodzina już nie pozwoliła mu iść. Poszli na nią ojciec i brat.

- Wtedy w Rynku był straszny „kocioł” - opowiadał kardynał Grzegorz Ryś. - Mój brata pobito. Ja miotalem się przed blokiem i czekałem, kiedy wrócić. To jest takie doświadczenie zła, nie wiadomo, co wobec tego zrobić, absolutna niepewność co do losów najbliższych ci ludzi. Dziś nazwałbym to, że pojawiło się pragnienie znalezienia jakiegoś środka zaradczego, który jest z innego wymiaru. Nie tak, że się pójdzie i zmanifestuje na ulicy swoje poglądy. Tamtego wieczoru postanowiłem iść do seminarium. Ta myśl się gdzieś kołatała przez drugie półrocze klasy maturalnej. Oczywiście to nie było wystarczające, by zostać księdzem. Po to jest seminarium. Ja naprawdę jestem przekonany, że seminarium jest miejscem do tego, by rozróżnić powołanie.

A miał być architektem

Kardynał Ryś miał studiować architekturę. Rodzice jednak zaakceptowali zmianę planów. Próbowali go tylko namówić, by do seminarium poszedł z dyplomem architekta.

- Miałem przekonanie, że zrobię odwrotnie - wyjaśniał klerykom metropolita łódzki. - Jeśli okaże się, że seminarium nie jest tym miejscem, to sobie wrócę na jakieś świeckie studia. Myślałem, że jeśli ma to być kapłaństwo, to nie ma co tracić pięciu lat.

Po tym, jak czterech uczniów poszło do seminarium, dyrektor IV LO i jego zastępca stracili stanowiska. Dyrektor musiał odejść ze szkoły. Metropolita łódzki po pierwszych rekolekcjach w seminarium miał rewizję SB w domu..

Kardynał Ryś nie zapomina o kolegach z liceum. Na 20-lecie matury pojechali do Rzymu, pięć lat później wybrali się do Ziemi Świętej. Byli też razem w Turcji, na pielgrzymce śladami Świętego Pawła. Koledzy z klasy zapewniają, że odchodzący metropolita łódzki bardzo ładnie śpiewa, dobrze gra na gitarze i pięknie rysuje.

- Kiedy byliśmy w Ziemi Świętej, ktoś załatwił gitarę - wspominała Ewa Żuławska. - Grzesiu nam grał i śpiewał. Było bardzo miło!

Tomasz Guderski podkreślał, że ks. Grzegorz pozostał skromnym człowiekiem. Jest też bardzo pracowity. Każdą wolną chwilę poświęca na twórczą pracę, pisanie książek, ale też na spotkania z ludźmi. Od lat pielgrzymuje pieszo do Częstochowy.

Metropolita łódzki jest człowiekiem sprawnym fizycznie. Lubi wędrowki po górach.

- W gronie kolegów i koleżanek mieliśmy okazję wędrować po Bieszczadach - opowiadał Tomasz Guderski. - Wędrowaliśmy po naprawdę trudnych szlakach i Grzesiu znakomicie dawał sobie radę. Jeździł na rowerze. Odbił rowerową piel-



Kardynał Grzegorz Ryś lubi niekonwencjonalne zachowania. W 2022 roku wystąpił w przebraniu Świętego Mikołaja, aby obdarować dzieci

grzymkę do Santiago de Compostela. Tzw. drogą francuską pokonał ponad 780 kilometrów.

Ewa Żuławska wiele lat chodziła z kardynałem Rysiem na pielgrzymki do Częstochowy, jeszcze jak był w Krakowie. Trzymali się w kilkuosobowej grupie. Było w niej trzech księży, w tym ks. Grzegorz. Nie był jeszcze biskupem. Nigdy nie nocował na plebaniach, ale z pielgrzymami. Raz zostali zakwaterowani w dwóch ciasných pokoikach. W jednym nocowali księża, w drugim pani Ewa z przyjaciółmi.

- Była z nami moja przyjaciółka Basia, która jest pielęgniarką - opowiadała nam Ewa Żuławska. - Grzesiowi zrobiły się na nogach ogromne pęcherze, ale dzielnie szedł. Weszliśmy z Basią do pokoju, w którym spali księża - na podłodze, na karimatach. Pamiętam, że przyjechał nas wtedy bardzo serdeczna, ale chyba uboga rodzina. Były problemy z wodą, ale on nigdy nie narzekał. Grzesiu nie zmienił się. Dalej jest taki, jaki był. To pokorny, ludzki człowiek. Nie ma w nim buforiarstwa.

Prof. Stanisław Sroka z Zakładu Historii Średniowiecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego podkreślał, że kardynał Grzegorz Ryś jest też wybitnym historykiem-mediewistą. Napisał wiele książek. Prof. Sroce utkwiła w pamięci zwłaszcza ta poświęcona genezie celibatu. Zaznacza, że kardynał ma lekkie pióro i w znakomity sposób ujął od strony historycznej tę sprawę.

- To także bardzo skromny, miły człowiek, daleki od blichtru - twierdzi prof.

Sroka. - Kiedyś podczas powrotu z Rzymu spotkałem go w samolocie. Wszyscy wychodzili, a on pokornie czekał, jak go ktoś przepuści.

Co kardynał Ryś zostawi po sobie w Łodzi?

4 listopada 2017 roku odbył się uroczysty ingres Grzegorza Rysia do bazyliki archikatedralnej w Łodzi. 29 czerwca następnego roku przyjął z rąk papieża paliusz symbolizujący władzę arcybiskupią. Arcybiskup Grzegorz Ryś zastąpił abp. Marka Jędraszewskiego, który został metropolitą krakowskim.

- Kościoła w Łodzi to ja się będę musiał dopiero nauczyć - mówił po nominacji bp Ryś ówczesnemu rzecznikowi prasowemu Konferencji Episkopatu Polski, ks. Pawłowi Rytel-Andrianikowi. - W Łodzi byłem wszystkim kilka razy w życiu, więc nie mogę mieć innej postawy. Na szczęście nie jestem pierwszym biskupem w Łodzi, tylko siódmym, więc na miejscu jest z kim rozmawiać.

Nauka przebiegała szybko. Nowy ordynariusz łódzki od razu zaskarbił sobie sympatię mieszkańców archidiecezji. Zarówno gorliwych katolików, jak i tych mających niewiele wspólnego z Kościołem. W stroju góralskim śpiewał koledę, by zachęcić do udziału w Orszaku Trzech Króli, a także do zbiórki dla hospicjum przy ul. Łupkowej w Łodzi. Z własnej kieszeni ufundował testy na koronawirusa dla bezdomnych. Poprosił też o zbiórki wiernych. Zebrano na ten cel 150 tysięcy złotych! W pandemii zainicjował zbiórki pieniędzy na zakup re-

spiratorów. W ciągu kilku dni zebrano 2 miliony złotych! Sam przekazał pieniądze na zakup dwóch respiratorów. Jeden sponzorowała archidiecezja, a drugi sam metropolita łódzki.

Z inicjatywy kardynała Grzegorza Rysia odbył się cykl spotkań nawiązujących do 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości „Polskość - Inspiracje - Obowiązki”. Gośćmi byli m.in. nieżyjący już prof. Karol Modzelewski, prof. Adam Strzembosz, prof. Ryszard Bugaj i były marszałek Sejmu Marek Jurek.

Dzięki kardynałowi Rysiowi swoją siedzibę w Łodzi ma Ogólnopolskie Seminarium dla Starszych Kandydatów 35 plus oraz Seminarium Misyjne Redemptoris Mater kształcące kapłanów posługujących na Drodze Neokatechumenalnej. Święcenia diakonatu przyjął w bazylice archikatedralnej 16 mężczyzn. Stało się to możliwe dzięki dekretovi kardynała z 2019 roku o ustanowieniu Ośrodka Formacji Diakonów Stałych. Diakon stały może odprawiać nabożeństwa, udzielać ślubów, chrztów, prowadzić pogrzeby, mówić kazania, udzielać komunii, czytać Ewangelię podczas mszy św. Kardynał Ryś wypowiedział się też odważnie na temat posługi kobiet w Kościele.

- Zgodziliśmy się w Konferencji Episkopatu Polski co do tego, że otwieramy przestrzeń przygotowania do posług - nie do funkcji, ale do posług, do urzędu - lektora, akolity, katechisty i też do urzędu nadzwyczajnego szafarza, że chcemy to otworzyć też dla kobiet - podkreślił metropolita łódzki.

Tylko domki się nie spodobały

Kardynał Grzegorz Ryś odwiedził i wspomagał chrześcijan w Libanie. To on także zaproponował zbudowanie w Łodzi osiedla domków dla uchodźców z Ukrainy. Pomysł ten wsparł papież Franciszek, który przekazał na ten cel 30,5 tysięcy dolarów. Jednak to chyba jedyna inicjatywa kardynała Rysia, która nie wzbudziła aprobaty wielu mieszkańców archidiecezji łódzkiej. Ale domy stały. Na łódzkich Chojnach, na terenie parafii św. Wojciecha.

Hitem internetu okazał się taniec jeszcze wtedy abp. Grzegorza podczas Kongresu Nowej Ewangelizacji odbywającego się na Jasnej Górze. Bawił się i śpiewał z łódzkimi dziećmi pokazując, jak „robi się słoniu”. W archidiecezji łódzkiej zaczęto mówić o efekcie Rysia. To on zainicjował Arenę Młodych, Arenę Rodzin czy Jerycho Modlitewne. A także Jerycho Rowerowe. Kardynał wsiadał na rower i razem z innymi wiernymi jeździł po Łodzi, modląc się za jej mieszkańców.

Kardynał Ryś jest członkiem watykańskiej Kongregacji ds. Biskupów. Osobiście od papieża Franciszka dostał zaproszenie do wzięcia udziału w Synodzie o Synodalności Kościoła. We wrześniu 2023 roku otrzymał od papieża Franciszka nominację kardynalską.

- Do kolegium kardynalskiego zostaje włączony młody, energiczny, bardzo dobrze wykształcony, wolny od skostniałych nawyków i przyzwyczajęń człowiek - stwierdził po jego wyborze kardynał Kazimierz

Nycz, emerytowany metropolita warszawski.

Grzegorz Ryś został pierwszym kardynałem, który stanął na czele archidiecezji łódzkiej. Na taką nominację czekał abp Marek Jędraszewski, metropolita krakowski. Ale się nie doczekał.

Jedną z ostatnich decyzji odchodzącego do Krakowa kardynała Rysia było powołanie niezależnej komisji historycznej badającej przypadki wykorzystywania seksualnego nieletnich przez księży na terenie archidiecezji łódzkiej.

Wiele zależy od następcy kardynała Rysia

Co dla łódzkiego Kościoła oznacza odejście kardynała Rysia?

- Dobrze wiecie, że takie momenty są trudne - mówił podczas ogłoszenia decyzji o objęciu metropolii krakowskiej kardynał Grzegorz Ryś. - Na takie trudne momenty zawsze sięgam do słowa i nie ukrywam, że przez kilka dni chodziłem i myślałem, co ja bym miał dzisiaj tu powiedzieć, i wszystko, co mi przychodzi do głowy, uważałem za niewłaściwe. Miałem tylko w sobie taką nadzieję, że przyjdzie ta środa i otworzę rano Biblię, no i dostanę to, co mam powiedzieć. I dostałem. I mam odwagę się tym z Wami podzielić.

O skutki odejścia kardynała Rysia dla archidiecezji łódzkiej zapytaliśmy między innymi Tomasza Terlikowskiego, znanego publicystę katolickiego.

- Na pewno nie jest to dobra informacja dla archidiecezji łódzkiej - uważa Tomasz Terlikowski. - Wiele zależy jednak od tego, kto będzie następcą kardynała Grzegorza Rysia. Przy czym idzie też taki przekaz, że archidiecezja łódzka jest przejściową diecezją. To zły sygnał dla archidiecezji. To, co się zmienia, a co nie zmienia, zależy od tego, kto będzie nowym metropolitą.

Mówi się, że nowym metropolitą łódzkim może zostać kardynał Konrad Krajewski, jałmużnik papieski pochodzący z Łodzi. Tomasz Terlikowski nie chce tego komentować.

- My nic nie wiemy o kardynale Krajewskim jako duszpasterzu - twierdzi publicysta katolicki. - Nie zarządzał nigdy diecezją. Przypomnę, że do tej pory transfery z Watykanu nie były korzystne.

Dla Łodzi odejście kardynała Grzegorza Rysia jest dużą stratą. Ale jak mówi Artur Sporniak, może być mniejszą, gdy jego następcą zostanie człowiek, o którym się mówi. To kardynał Konrad Krajewski.

Kardynał Grzegorz Ryś pożegna się z wiernymi z archidiecezji łódzkiej w sobotę, 13 grudnia na mszy św. o godzinie 12.00. Natomiast ingres do archidiecezji krakowskiej ma mieć miejsce 20 grudnia.

Do obrony wschodniej granicy Polski śmiało można wykorzystać to, co oferuje przyroda, np. gęste lasy i bagna. Naukowcy przedstawili projekt Zielonej Tarczy Wschód. Na czym miałyby polegać? Jakie elementy miałyby ją tworzyć? Rozmawiamy z dr. hab. Michałem Żmihorskim, dyrektorem Instytutu Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży

Andrzej Kłopotowski

ZIELONA TARCZA WSCHÓD, CZYLI JAK W OBRONIE GRANIC SKORZYSTAĆ Z DOBRODZIEJSTW PRZYRODY

Tarcza Wschód i zaporą zbudowana na granicy mocno dały w kość naszej przyrodzie?

Wszystkie dotychczasowe zabiegi na granicy - czyli budowa zapory granicznej i wycinki nad Bugiem - z perspektywy przyrodniczej bardzo mocno negatywnie wpływają na środowisko regionu. Już teraz obserwujemy skutki. Niektóre gatunki unikają sąsiedztwa zapory. Duże ssaki kopytne - jak żubry i jelenie - przesunęły się w głąb puszczy, z dala od granicy. Wydaje się, że podobnie jest z wilkami. Natomiast małe drapieżniki korzystają ze śmieci pozostawionych przez wojsko, więc przysunęły się do granicy. Zapora ma więc wpływ na użytkowanie przestrzeni przez zwierzęta. Odnotowano też wiele przypadków zaplątywania się zwierząt w drut żyłkowy, co na ogół prowadziło do ich śmierci. Mamy wiele przypadków rozjeżdżania płazów, gadów, ale też ptaków, drobnych ssaków, a nawet żubrów przez pojazdy służb i firm budujących zapórę. Wpływ podzielenia puszczy na tę wschodnią i zachodnią jest więc wielowymiarowy, wieloaspektowy. Dla gatunków rzadszych oznacza negatywne konsekwencje genetyczne i demograficzne. Problemem jest, że rząd woli pozostać ślepy na konsekwencje przyrodnicze tego, co się dzieje na granicy. Nie ma żadnego monitoringu środowiskowego zarówno w Puszczy Białowieskiej, jak i w Dolinie Bugu. Akurat nasz Instytut działa w Puszczy Białowieskiej od 70 lat, więc mamy dane do porównań. Próbuje znaleźć środki finansowe na oszacowanie skutków zapory granicznej. Jednak w Dolinie Bugu - poza



Nawet pobieżna znajomość historii wojskowości jasno wskazuje, że środowisko naturalne jest kapitalną zaporą – przekonuje dr hab. Michał Żmihorski

wizualną inspekcją, że wycięto tam tysiące drzew, zniszczono glebę, wrzucono drut żyłkowy w zieleni i do wody - nie mamy twardych danych naukowych mówiących, ile zwierząt zginęło albo jak przesunęły się zasięgi gatunków.

Czy można porównywać wpływ obecnej zapory z tzw.

„sistiemą” istniejącą w Puszczy Białowieskiej od lat po stronie białoruskiej? Obecna zapora jest dużo bardziej szczelna. Dla niektórych gatunków „sistiema” nie stanowiła przeszkody. Natomiast obecna bariera już ją stanowi. Jednym z przykładów jest ryś. Mamy dane z telemetrii - czyli dane o poruszaniu się zwie-

rząt na podstawie obroży z nadajnikiem GPS, które im zakładaliśmy - z których wynika, że ryś śledzony w ten sposób „sistiemę” był w stanie kilkadziesiąt razy w ciągu roku przekroczyć. To bardzo sprawne zwierzę, które potrafi się wspinać i przeciskać między drutami kolczastymi. Natomiast pięciometrowego

plotu ze stali nie jest już w stanie przeskoczyć. Sytuacja w jego przypadku zmieniła się więc drastycznie. Również dla wilka i prawdopodobnie dla niedźwiedzia. „Sistiema” nie naruszała warunków wodnych - nie ma podmurówki. Teraz mamy metrowy fundament wkopany w ziemię, blokujący przepływ wód po-

wierzchniowych i podpowierzchniowych.

Proponujecie coś innego - Zieloną Tarczę Wschód. Skąd pomyśl na nią?

To pomysł, który zrodził się w głowach naukowców pracujących m.in. w Puszczy Białowieskiej. Przedstawiona przez Ministerstwo Obrony Narodowej podczas inauguracji Tarczy Wschód koncepcja - czyli rozległy, otwarty teren bezpośrednio przy granicy, gdzie mamy rowy przeciwczołgowe, pola minowe, żelbetowe jeże, palisady itd. - oznaczałaby totalną dewastację środowiska wzdłuż granicy, które to środowisko w wielu miejscach jest bardzo cenne. To są różnego rodzaju kompleksy leśne czy mokradłowe, gdzie od dziesiątek lat Polska inwestuje w ochronę przyrody i przywracanie gatunków. To tereny istotne dla lokalnej turystyki, dla rozwoju regionu, dla badań naukowych. Wprowadzenie Tarczy Wschód w twardą wersję zniszczyłoby środowisko nieodwracalnie. Stąd zaczęliśmy zastanawiać się nad alternatywą. W zasadzie nawet pobieżna znajomość historii wojskowości jasno wskazuje, że środowisko naturalne jest kapitalną zaporą. Przykładów jest wiele, najstarsze sprzed tysięcy lat, kiedy Rzymianie przegrywali z Germanami w lasach i puszcach obecnych Niemiec. Środowisko w wielu aspektach nie sprzyja najeźdźcy. Polska generacja dwudziestolecia międzywojennego dziś uznawana byłaby pewnie za skrajnych ekologów, ponieważ zabiegała, by nie osuszać i nie wylesiać Polesia. To było, ich zdaniem, najlepsze zabezpieczenie

FOT. Z ARCHIWUM MICHAŁA ŻMIHORSKIEGO

na wypadek ataku ze wschodu. Zakładamy, że dziś grawitacja działa tak samo jak dawniej – rosyjski czołg T-90 waży 50 ton. Nie pływa po wodzie, tylko tonie w błocie. Gęsty las nie daje możliwości przemieszczania się wojsk z ciężkim sprzętem i pojazdami, logistyka się zrywa, znika element zaskoczenia. Potwierdzają to liczne przykłady z Ukrainy. Mimo rozwoju dronów i rakiet teren zdobywa i okupuje piechota, która w tym przypadku przyjeżdża na Kamazach. Stąd nasze apele do Ministerstwa Obrony Narodowej, wicepremiera i wojskowych, by nie niszczyć środowiska, lecz chronić naturalne lasy i bagna, zastrzymać melioracje, zmniejszyć zagęszczenie dróg leśnych, ograniczyć maksymalnie gospodarkę leśną, która „czyści” lasy z martwego drewna. By naturalne ekosystemy pomagały bronić nas od wschodu.

Jakiej szerokości miałyby być Zielona Tarcza Wschód i jakie elementy powinny się w niej znaleźć?

Idąc od południa, są to lasy w okolicach Sobiboru, gdzie od dawna są postulaty o utworzenie parku narodowego. Dalej lasy koło Mielnika, Puszcza Białowieska, która przechodzi w Bagna Siemianówki i łączy się z Puszczą Knyszyńską,

która to następnie łączy się z górą Biebrzą i Puszczą Augustowską. Potem na północy mamy jeszcze Puszcę Romnicką, Lasy Skaliskie, Puszcę Borecką, lasy i pojezierze Mazurskie. To cały kompleks różnych terenów – mniej lub bardziej chronionych, gorzej lub lepiej zachowanych – które mogłyby stanowić przeszkodę dla potencjalnego ruchu przeciwnika i go kanalizować. Żeby przeciwnik – gdyby nie daj Boże doszło do takiej sytuacji – musiał iść wąskimi, znany mi nam przesmykami, a nie tam, gdzie mu się podoba. To kapitalnie zwiększa potencjał obronny regionu. Nie odpowiem natomiast na pytanie oдноśnie szerokości strefy, czy to 10, 15 czy 20 kilometrów. To zależy od uwarunkowania terenowego, rozmieszczenia bagien i lasów. Zamiast sztywnego dystansu do tematu trzeba podejść bardziej plastycznie. Wykorzystywać sprzyjające obronie środowiska, tam gdzie one są, uwzględniając też lokalizację, w których możemy odtworzyć dzikie lasy lub mokradła. Wiemy, że wiele dolin rzecznych i torfowisk przez ostatnie 100 lat skanalizowano i zmeliorowano. Warto byłoby przynajmniej niektóre z nich odtworzyć.

Tworzenie takiej tarczy wymagałoby solidnej współ-

pracy z ministerstwami, samorządami czy Lasami Państwowymi. Czy trudno byłoby połączyć te sznurki? Skłamałbym, gdybym powiedział, że to łatwe zadanie. Jest wielu aktorów w tym procesie. Wydaje mi się jednak, że bezpieczeństwo powinno być priorytetowe. Jeśli mielibyśmy porównać bezpieczeństwo Polski do produkcji drewna...

To bezpieczeństwo jest ważniejsze. Pełna zgoda. Musimy ustalić priorytety, żeby wykonać dalszy ruch. Lasy Państwowe to instytucja państwowa, zarządzająca majątkiem skarbu państwa. Nie są jego właścicielem, więc powinny działać zgodnie z interesem państwa, instrukcjami, które powinny przyjsć z góry. Podobnie Wody Polskie, które zarządzają obiektami wodnymi. Samorządom też powinno zależeć na bezpieczeństwie. Nie wiemy co będzie za 5, 10 lat, a Rosja raczej nie przesunie się w inną część globu. Lokalnym społecznościom powinno zależeć, by nasze przygraniczne miejscowości nie stały się drugą Buczą. Samorządy powinny więc współpracować przy budowaniu bezpieczeństwa. W przypadku terenów rolniczych, które nie należą do skarbu państwa, nie-

zbędne byłyby rekompensaty i dotacje za to, że np. na czyjejs łące odtwarzamy mokradło. Mając na uwadze wyższy cel, należałoby takie mechanizmy wdrożyć, by napięcia społeczne minimalizować.

Na jakim etapie jest cały projekt Zielonej Tarczy Wschód? To wizja? Koncepcja? Pierwsze rozmowy? Jak na ten projekt reaguje w ogóle Ministerstwo Obrony Narodowej? Ministerstwo Obrony Narodowej reaguje zaskakująco pozytywnie. Już w styczniu rozmawialiśmy z dyrektorem Departamentu Infrastruktury MON, czyli jednostką, która odpowiada za wdrażanie Tarczy Wschód. Okazało się, że mówimy jednym głosem, bo eksperci zwrócili uwagę, że mokradło lub bezdrożny las sprawiają, że takiego odcinka łatwiej bronić i można się skupić na odcinkach odsłoniętych. Mieliśmy już kilka spotkań z ministerstwem, rozmawialiśmy z ministrem obrony, ten dialog się toczy. Wynika z nich, że trzeba odtwarzać torfowiska, unaturalniać lasy, a cały zielony komponent jest bardzo istotny w Tarczy Wschód. Natomiast trochę gorzej to wygląda w praktyce. Nie obserwuję zbyt wielu przykładów potwierdzających, że za tymi deklaracjami

coś konkretnego dzieje się w terenie. Jak byśmy pojechali dziś do Puszczy Białowieskiej okaże się, że las ciągle jest odwadniany siecią rowów melioracyjnych. Mógłbyśmy pokazać bardzo gęstą sieć dróg leśnych, cały czas utrzymywanych. Obecnie polski podatnik płaci duże pieniądze po to, żeby jak się przewróci świerk w poprzek jakiejś leśnej drogi prowadzącej do granicy polsko-białoruskiej, mogli tam dojechać traktorzysta z pilażem, żeby ten świerk przeciąć i przesunąć, a droga była przejezdna.

Tylko po co? No właśnie nie wiadomo po co. To są drogi zamknięte dla ruchu, nikt tam nie mieszka, nie ma tam terenów rolniczych, nie ma gospodarki leśnej. To zupełnie absurdalna sytuacja, że płacimy duże pieniądze na utrzymanie nikomu niepotrzebnych dróg, obniżając swoje bezpieczeństwo. Jedynym beneficjentem – trochę ironizując – może być agresor, który w przypadku ataku będzie się przemieszczał tymi leśnymi drogami, podobnie jak Rosjanie idący na Kijów w 2022 roku przez lasy wokół Czarnobyla.

Dajecie sobie – jako naukowcy – czas, by padła jasna

deklaracja o tworzeniu – bądź nie – Zielonej Tarczy Wschód? To leży poza naszymi kompetencjami, by stawiać deadline ministerstwu. Staramy się aktywnie tę sprawę nagłaśniać. Jak jest możliwość spotkania, zabrania głosu, pokazania przykładów, robimy to. Oferujemy nasze merytoryczne wsparcie dla zarządzania środowiskiem. Ostatnio rozmawialiśmy o tym na seminarium w Białowieży. Deklaracje są bardzo pozytywne, tylko ostateczne znaczenie ma wyłącznie to, co pojawi się w terenie. Deklaracje nie walczą, teren walczy. Jako naukowcy, Państwowa Rada Ochrony Przyrody, Instytut Polskiej Akademii Nauk w Białowieży, tak widzimy naszą misję. Tu jednak kończą się nasze możliwości.

Pozostaje więc lobbowanie wśród decydentów i nadzieja na to, że dobry pomysł zostanie zrealizowany. Trochę przewrotnie powiem: mamy teraz dywersję na kolei. Może impulsem do działania byłoby coś, co wydarzyłoby się przy granicy? Mam jednak nadzieję, że bez tego typu zdarzeń jesteśmy w stanie podjąć decyzję, by Zieloną Tarczę Wschód tworzyć.

MATERIAL INFORMACYJNY TOTALIZATOR SPORTOWY

0011436287

OEES: Liberalizacja rynku kasyn online generowałaby ogromne koszty społeczne

Czy hazard może wspierać kulturę, sport i dobro wspólne? Podczas jubileuszowej edycji Open Eyes Economy Summit w Krakowie uczestnicy panelu poświęconego roli gier losowych rozkładali na czynniki pierwsze relacje między rozrywką, ekonomią a odpowiedzialnością społeczną. Dyskusja pokazała, że legalny hazard – często postrzegany wyłącznie jako ryzykowna działalność – może w praktyce pełnić funkcję stabilnego i bardzo efektywnego narzędzia finansowania celów publicznych, o ile działa w ramach ściśle kontrolowanego systemu.

10 edycja OEES, która zgromadziła w Centrum Kongresowym ICE Kraków ekspertów, przedsiębiorców, przedstawicieli uczelni, organizacji społecznych i administracji, skupiła się na ekonomii wartości – idei mówiącej, że współczesny rozwój gospodarczy nie powinien opierać się wyłącznie na wskaźnikach finansowych, ale również na odpowiedzialności, zrównoważonym zarządzaniu i trosce o dobro wspólne. W tym kontekście także sektor hazardowy został przeanalizowany pod kątem jego realnego wpływu na społeczność.

Hazard w centrum debaty o wartościach Podczas panelu „Hazard i wartości – ogień i woda czy małżeństwo z rozsądku?” omówiono zjawisko, które często budzi emocje – szczególnie w dobie gwałtownego rozwoju nielegalnych kasyn internetowych i rosnących zagrożeń związanych z uzależnieniami. Dyskutanci podkreślali jednak, że hazard, jeśli jest regulowany i odpowiednio nadzorowany, może stać się narzędziem rozwoju społecznego i finansowania działań ważnych dla państwa.

Wskazywano także na rosnącą skalę problemu szarej strefy. Polacy – często nieświadomi – korzystają z serwisów, które nie mają polskiej licencji, nie płacą podatków i nie oferują żadnych zabezpieczeń chroniących użytkowników. Na tym tle legalny operator funkcjonuje w diametralnie innym modelu, opartym na odpowiedzialności oraz dystrybucji części przychodów na cele publiczne.

Odbudowa Zamku Królewskiego i wspieranie sportu Jednym z najważniejszych przykładów, o których rzadko mówi się szeroko, jest

rola Totalizatora Sportowego w odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie. Ta historyczna inwestycja, symboliczna dla powojennej odbudowy kraju, była jednym z największych projektów finansowanych przez operatora. I choć od tamtych lat minęły dekady, misja Totalizatora Sportowego pozostaje niezwykle zbliżona do pierwotnej.

– Nasze gry są formą współuczestnictwa w projektach o znaczeniu społecznym. Obowiązkiem, z którego jesteśmy dumni, jest wspieranie kultury i sportu, nie tylko poprzez podatki, lecz także sponsoring wydarzeń, które dzięki temu mogą w ogóle dojść do skutku – mówił Mariusz Rzeczkowski, dyrektor Departamentu Strategii, Innowacji i Współpracy Międzynarodowej Totalizatora Sportowego. Podkreślał, że system finansowania zbudowany na wpływach z gier losowych pozwala graczom mieć poczucie, że ich środki pracują na rzecz wspólnego dobra.

Wartości, o których mowa w haśle przewodnim OEES 10, są spójne z filozofią działania Totalizatora Sportowego: ekonomiczny rezultat musi iść w parze z celami

społecznymi. I to nie tylko w deklaracjach, lecz także w realnych liczbach.

– Z każdej złotówki, jaką gracze przeznaczają na gry liczbowe, 19 groszy trafia bezpośrednio do funduszy wspierających sport i kulturę. To część systemu dainin publicznych, który zasila budżet państwa. W 2024 roku była to kwota bliska 5 miliardów złotych – wskazał Rzeczkowski.

Tradycja wsparcia celów społecznych

Jak zauważyła Beata Guzik, prawnik specjalizujący się w legislacji dotyczącej gier hazardowych, model, w którym loterie finansują cele publiczne, jest stosowany na świecie od setek lat.

– Europejskie loterie przekazują na cele społeczne około 23 mld euro rocznie. Finansują sport, kulturę, zdrowie czy inicjatywy edukacyjne. W wielu krajach to dzięki nim możliwe jest funkcjonowanie komitetów olimpijskich, bo przychody z gier stanowią ich podstawowe źródło utrzymania. Dlatego tak ważne jest korzystanie wyłącznie z legalnych operatorów – podkreśliła.

Małopolski Totalizator Sportowy wspiera m.in. Za-

mek Królewski na Wawelu czy Babiogórski Park Narodowy, co pokazuje, że środki z gier trafiają do instytucji realnie wpływających na lokalną kulturę i środowisko.

Walka z nielegalnym hazardem i troska o bezpieczeństwo graczy

Jednym z najpoważniejszych problemów, o których rozmawiano podczas panelu, jest ekspansja nielegalnych kasyn internetowych. Działają poza polskim prawem, nie płacą podatków i nie stosują żadnych zabezpieczeń chroniących graczy przed nadmiernym ryzykiem.

– Naszą rolą jako operatora państwowego jest oferowanie realnej alternatywy. Dbamy o jakość i wygodę produktów, ale priorytetem jest bezpieczeństwo. Umożliwiamy graczom ustalenie limitów czasu i stawek, a nasze systemy analizują nietypowe zachowania, które mogą świadczyć o zagrożeniu uzależnieniem. Podmioty nielegalne nie mają takich narzędzi i nie zamierzają ich wdrażać – zaznaczył Rzeczkowski.

Panel poruszał także kwestię reklamy – Totalizator Sportowy respektuje jej ograniczenia, aby nie promować

nadmiernego uczestnictwa w grach.

Deregulacja czy stabilny system?

W dyskusji pojawił się również temat potencjalnej deregulacji rynku hazardowego. Eksperci byli zgodni: liberalizacja nie gwarantuje wzrostu wpływów budżetowych, ale długofalowo generowałaby ogromne koszty społeczne.

– Hazardowi przestępcy nie weszliby do systemu licencyjnego, ponieważ dziś ich działalność praktycznie nic nie kosztuje. Tymczasem legalni operatorzy, tacy jak Totalizator Sportowy, odprowadzają wysokie podatki – choćby 50-procentowy podatek od gier kasyna online. Deregulacja mogłaby spowodować wzrost liczby grających, a co za tym idzie – wzrost liczby osób wymagających kosztownego leczenia uzależnień. A te koszty poniesie państwo i całe społeczeństwo – ocenił Rzeczkowski.

Wniosek był jasny: stabilne, odpowiedzialne regulacje to najlepszy sposób na ograniczenie szkód społecznych, przy jednoczesnym utrzymaniu ważnego źródła finansowania wielu sektorów publicznych.

PIOTR DOMALEWSKI: JESTEŚMY DOBRZY W PRZYMYKANIU OKA NA NIEKTÓRE SPRAWY

– Ministrantem zostałem znacznie wcześniej niż bohaterowie mojego filmu, bo w wieku sześciu lat. Ale pewnie w ich wieku – nastoletnim – zacząłem mieć takie same dylematy co oni. Wydaje mi się, że to jest moment, w którym człowiek zaczyna widzieć, że rzeczywistość nie do końca jest tak uczciwa, jak by chciał. Oni tę nieuczciwość rzeczywistości i świata, w którym żyją, widzą bardzo boleśnie – mówi Piotr Domalewski, reżyser obsypanego nagrodami filmu „Ministranci”

Urszula Śleszyńska

Twój film „Ministranci” został obsypany nagrodami na 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Wyreżyserowałeś go, ale jesteś też autorem scenariusza. W jednym z wywiadów powiedziałeś, że pomyślałeś o produkcji niezgody na to, że ludzie mówią co innego, a robią co innego.

Tak, i ta niezgoda dalej we mnie jest. Niełatwo się opowiada o takich emocjach, więc pomyślałem, że odpowiednimi bohaterami, którzy mają szansę wiarygodnie zrobić to za mnie, są młodzi ludzie. Oni nie muszą patrzeć na rzeczywistość przez filtr relatywizmu. Mają prawo domagać się od rzeczywistości, żeby była dobra albo zła, czarna albo biała, żeby miała jakieś zasady. I pewnie z takiej zupełnie naiwnej tęsknoty za jakimiś zasadami zrodził się ten film.

Sam byłeś ministrantem, i to przez 12 lat. Czy bohaterowie twojego filmu są mniej więcej w tym samym wieku, w jakim byłeś ty, kiedy zaczynałeś posługę w kościele?

Ja ministrantem zostałem znacznie wcześniej niż bohaterowie mojego filmu, bo w wieku sześciu lat. Ale pewnie w ich wieku – nastoletnim – zacząłem mieć takie same dylematy co oni. Wydaje mi się, że to jest moment, w którym człowiek zaczyna widzieć, że rzeczywistość nie do końca jest tak uczciwa jak by chciał. Oni tę nieuczciwość rzeczywistości i świata, w którym żyją, widzą bardzo boleśnie, stąd ten film.

Czy ty, kiedy byłeś ministrantem, też miałeś okazję obserwować w Kościele coś, co nie do końca ci się podobało?

Było pewnie sporo takich rzeczy, ale najbardziej zastanawiająca wydawała mi się zawsze spowiedź. Zwłaszcza że jako młody człowiek kompletnie nie potrafiłem w tym sakramencie znaleźć niczego duchowego. Był to dla mnie jakiś techniczny zabieg, który uprawniał do udziału w uroczystościach i innych sakramentach.

U młodych ludzi to widzenie świata jest często bardzo zero-jedynkowe. Coś jest albo bardzo dobre, albo bardzo złe. I nie ma nic po środku.

Młodzi ludzie mają do tego prawo. Zresztą wszyscy mamy do tego prawo. Pytanie, czy my potrafimy być na tyle bezkompromisowi i oddani swojej intuicji, żeby – tak jak bohaterowie filmu „Ministranci” – ruszyć z miejsca i coś z tym zrobić? Nie wydaje mi się. My, dorośli, jesteśmy dobrzy w przyzymkaniu oka na niektóre sprawy.

Czy ten film można określić mianem antyklerykalnego?

Wydaje mi się, że każdy widź określi go sobie tak, jak podpowie mu intuicja i jego wrażliwość. Zawsze staram się raczej przyglądać zjawiskom, a ich ocenę pozostawić odbiorcom.

Ponoć miałeś okazję rozmawiać z kilkoma księżmi, którzy już widzieli ten film. Jakie były ich opinie?

Ogólnie są pozytywne. Osoby duchowne doceniają to, że pokazują problemy biednej, wielkiej parafii, która również jest bezsilna w konfrontacji z instytucjonalną machiną kościoła. Jednak ja rozmawiałem z szeregowymi księżmi, którzy pracują z ludźmi i którzy prowadzą swoje wspólnoty. Z wysoko postawionymi hierar-



Domalewski: Czy my potrafimy być na tyle bezkompromisowi i oddani swojej intuicji, żeby – tak jak bohaterowie filmu „Ministranci” – ruszyć z miejsca i coś z tym zrobić

chami kościoła nie rozmawiałem i raczej nie będę rozmawiał.

Określasz ten film jako brawurowy. Co to znaczy?

Na pewno jest to film brawurowy w każdym aspekcie. Zarówno dynamiki akcji, podejścia do tematu, jak i w ogólnym przesłaniu. Ekstremum w tym filmie to przestrzeń psychologiczna i emocjonalna. Łuk emocjonalny bohatera jest naprawdę bardzo silny. I dodatkowo tym bohaterem jest młody człowiek, co czyni wydźwięk filmu jeszcze silniejszy.

Czym się kierowałeś, wybierając czterech nastolatków, którzy zagrali główne role w tym filmie?

Zależało mi na tym, żeby ci młodzi ludzie mieli w sobie przestrzeń, by przekazać na ekranie emocje wynikające z dramaturgii scenariusza. Oczywiście istotnym czynnikiem było również to, żeby mieli w sobie otwartość na współpracę z rówieśnikami, bo kluczowym elementem filmu jest fakt, że nasi bohaterowie stanowią bardzo zgraną ekipę przyjaciół.

Napisałeś scenariusz tego filmu, ale – jak mówisz – film zaczyna powstawać dopiero na castingu, kiedy aktorzy po raz pierwszy wypowiadają słowa, które wcześniej były tylko na papierze.

Tak, bo scenariusz bez aktorów nie jest żywą materią. Scenariusz jest jakimś prze-

czuciem filmu, a nie filmem. Scenariusze piszę w większości sam i lubię potem konfrontować je z żywymi ludźmi, z żywymi artystami, którzy mają swoje uczucia, emocje. Scenariusz wypowiedziany przez aktora zaczyna żyć. I czasami okazuje się, że trzeba go zmienić, bo prawdopodobnie słowa i frazy w nim zawarte zwyczajnie brzmią sztucznie. W czasie kręcenia filmu scenariusz również ewoluuje. Film to żywa materia, która potrafi zaskakiwać aż do końca procesu postprodukcji.

Mówi się, że każdy film ma dwa życia. Jedno wtedy, kiedy jest wyświetlany w kinach, i drugie, kiedy już zejdzie z ekranów.

Tak mi się wydaje. Film jest elementem kultury, dziedzictwa kulturowego, które powstaje w danej społeczności. I w momencie promowania go, pokazywania w kinach, rozpoczyna się to pierwsze życie. Film po raz pierwszy konfrontuje się z widzami.

I od tego, czy widzowie go pokochają, czy nie, zależy to drugie życie filmu. Jeśli film zapisze się we wrażliwości widzów, będą chcieli go jeszcze kiedyś, po latach, obejrzeć. Osobiście bardzo zależy mi na tym, żeby widzowie chcieli wracać do moich filmów.

W każdym filmie staram się opowiadać prawdę o jakiejś społeczności i dzięki temu, nawet jeśli ta społeczność przestanie już istnieć, to kolejne pokolenia, oglądając go, powiedzą: „O, ludzie kiedyś tak żyli. To były ich ideały, w to wierzyli, to im się podobało, to ich bolało, tego się bali. Ale to jest prawda o tych ludziach”. I wtedy ciężiej taki film odrzucić, zapomnieć o nim. To drugie życie filmu postrzegam jako element szeroko pojętego dziedzictwa kulturowego, które dana epoka i pokolenie generuje.

Masz nadzieję, że twój film będą chciały oglądać jeszcze kolejne pokolenia?

Pewnie że tak, ale nie umiem przewidzieć, co się stanie z nami jako społeczeństwem, kulturą i ogólnie światem. Wierzę jednak, że niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, kino przetrwa.

To, jaki jest twój ulubiony film, do którego wracasz?

„Manchester by the Sea”. Dla mnie to absolutny pik kinematografii. Wszystkie narzędzia opowiadania tego filmu są perfekcyjnie zestrojone

i świadome – od genialnego scenariusza, który pieczołowicie odsłania nam meandry tej potworności, jaka przydarzyła się bohaterom, przez poziom ekspresji aktorskiej, dynamikę prowadzenia kamery, po muzykę. Bardzo lubię ten film. Lubię też „Debiutantów” Mike’a Millsa. W pewnych aspektach te filmy są do siebie podobne. Bardzo chciałbym je zrobić, ale ktoś już je zrobił (śmiejch).

A z tych, które zrobiłeś, który jest twoim ulubionym?

To mój krótkometrażowy film zatytułowany „Obcy/ Stranger”, wiąże się z nim najwięcej emocji. To był mój pierwszy film, rzuciłem się na kompletnie nieznana wodę z jakąś całkowitą naiwnością. To była czysta brawura. Ale nadal jest moim ulubionym. Ten film sprawił, że utwierdziłem się w decyzji, że będę robił filmy niezależnie od trudności, jakie napotkam po drodze.

Czy to właśnie przy okazji tego debiutanckiego filmu pomyślałeś sobie, że już nie chcesz być aktorem, bo bardziej cię ciągnie do reżyserii? Kiedy nastąpił ten skręt w stronę reżyserii?

Tę pewność zyskałem chyba dopiero na trzecim czy czwartym roku reżyserii. Wiązało się z tym istotne wydarzenie. Dostałem rolę w dużej produkcji – jako aktor, ale udział w tym filmie właściwie wyeliminowałby możliwość zaliczenia przeze mnie roku na studiach reżyserskich. I chociaż ta rola to było spełnienie moich marzeń, to podjąłem decyzję, że reżyseria jest dla mnie ważniejsza. Czasami kiedy odwleka się decyzję, los doprowadza do sytuacji, w której nie można się dłużej wahać. Ja zdecydowałem, że będę reżyserem a nie aktorem. I nie żałuję. Cieszę się, że mogę robić to, co robię. Bo oprócz tego, że kocham opowiadać historie, to też uwielbiam pracować z grupą absolutnie zaangażowanych i skoncentrowanych, wspinających artystów. Uwielbiam to poczucie, że razem coś budujemy.

Mówisz o wspólności, a ja chciałam cię zapytać o rodzinę, która często pojawia się w twoich filmach. Dlaczego tak dużo opowiadasz o rodzinach?

Ponieważ w gruncie rzeczy każda historia jest po części o rodzinie. A to dlatego, że wszystkie historie, które ludzie opowiadają, mają swoje źródło w ich przestrzeni rodzinnej. Bazują na tym, co od rodziny dostali, albo na tym, czego od rodziny nie dostali.

Do rodziny nawiązałam też trochę dlatego, żeby zapytać



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

cię o Łomżę. To twoje rodzinne miasto. Lubisz tam wracać?

Oczywiście, że lubię, bo mam tam moich ludzi, mam tam moją rodzinę! Łomża jest taką bezpieczną przestrzenią – z tym mi się kojarzy. I chyba za to lubię to miejsce. W Łomży nie muszę o nic walczyć i nikomu niczego udowadniać. Tam jestem akceptowany taki, jaki jestem i zawsze ktoś się mną zaopiekuje. Myślę, że miejsce, w którym się wychowałem, jest w jakimś stopniu wyjątkowe. Ono mnie wyposażało we wszystkie narzędzia, żeby móc się mierzyć z rzeczywistością. A rzeczywistość bywa okrutna, bywa trudna, a wydaje mi się, że będzie jeszcze trudniejsza. Za granicą naszego kraju toczy się wojna, żyjemy w niepewności. Atak Rosji na Ukrainę całkowicie wywrócił rzeczywistość, którą do tej pory znaliśmy. Jeszcze kilka lat temu można było spokojnie snuć plany w perspektywie dziesię-

FILM

„Ministranci”

Bohaterem fabuły jest grupa nastolatków (w tych rolach Tobiasz Wajda, Bruno Błach-Baar, Mikołaj Juszczyk i Filip Juszczyk), których łączy przyjaźń, rap i wiara w Boga. Pomagając w kościele, chłopcy obserwują, jak katolickie ideały zderzają się z brutalną rzeczywistością. Kiedy dowiadują się, że pieniądze ze zbiórki dla ubogich mają zostać przeznaczone na inne cele, są rozczarowani postawą duchownych. Postanawiają włamać się do parafialnego sejfu i przekazać umieszczoną w nim gotówkę osobom potrzebującym. Tylko jak ustalić, kto naprawdę zasługuje na pomoc? Ministranci montują w konfesjonale ukrytą kamerę, podsłuchują spowiadających się sąsiadów i na tej podstawie podejmują decyzje o udzieleniu wsparcia. Wkrótce odkrywają, że uczynki wiernych niekoniecznie pokrywają się z tym, co opowiadają księdzu.



ciu lat. Dzisiaj trudno wyobrazić sobie, jak ten świat będzie wyglądał za rok.

Żeby jednak nie kończyć tak pesymistycznie, zapytam cię o film, nad którym właśnie pracujesz.

Zakończyłem zdjęcia do filmu o Grażynie i Jacku Kuroniach. To opowieść o tym, jak ludzie, broniąc swoich idei i przekonań, mierzą się z rzeczywistością. I że nic nie jest w stanie ich zatrzymać. Mam poczucie, że brakuje nam takich ludzi w dzisiejszych czasach, więc bardzo się cieszę, że miałem przyjemność i zaszczyt o nich opowiedzieć. Bo jest to jednak zaszczyt, kiedy ma się możliwość zrobienia filmu o ludziach, których już z nami nie ma, a którzy są jakimiś wzorcami, moralnymi autorytetami. Jest to wspaniałe, bardzo budujące i mam nadzieję, że ludzie ten film zobaczą i ci Kuroniowie z nimi zostaną. Trzeba opowiadać takie historie.

Co to jest „wystarczalizm”?

To działanie, które przywraca poczucie wpływu. A to bardzo ważne w świecie, w którym z każdej strony jesteśmy zasypany nadmiarem. Jeśli nie postawimy granic, prędzej czy później pocujemy przesyt. Każdy to zna: w sklepie, gdy ktoś proponuje większą kawę czy kolejny gratis. Jeśli mamy swoje „wystarczy”, podejmujemy decyzję sami, a nie pozwalamy, by marketing robił to za nas. Każdy ma swoją indywidualną granicę, moment, w którym czuję: mam dość, mam akurat. Wystarczalizm to przyjazna, elastyczna idea, która pozwala ustalić własne zasady: żeby było nie za dużo, ale też nie za mało. To rozsądne podejście do posiadania rzeczy i do odróżniania tego, co naprawdę jest dla nas ważne, od tego, co tylko przeszkadza żyć prościej i szczęśliwiej.

Jaka jest różnica między pozbywaniem się rzeczy w duchu minimalizmu, a świadomym wybieraniem tego, co jest wystarczające?

Minimalizm w pewnym momencie trochę wymknął się spod kontroli i zaczął przypominać zawody w tym, kto ma mniej. Dla wielu osób - szczególnie mających rodzinę - takie podejście jest po prostu nierealne. W wystarczalizmie nie chodzi o liczbę rzeczy, lecz o ich rolę. Najważniejsze jest to, czy naprawdę ich używamy i czy pełnią funkcję, dla której je mamy, a nie tylko stoją i zajmują przestrzeń.

Jaki moment sprawił, że pomyślała pani: wystarczy?

Dziesięć lat temu trafiłam na książkę Marie Kondo „Magia sprzątanía”. To był dla mnie impuls, by nazwać coś, co od dawna czułam, że wokół mnie jest za dużo przedmiotów, choćby niechcianych prezentów, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Zrobiłam porządki w szafie i zaczęłam pozbywać się rzeczy. I wtedy poczułam ogromną wolność. Zrozumiałam, że już nie muszę kurczowo trzymać się wszystkiego. Byłam bardzo sentymentalna, przywiązywałam się do przedmiotów. Dopiero ta zmiana podejścia pokazała mi, że nie o rzeczy tutaj chodzi, bo i tak ich ze sobą nigdzie nie zabiorę. Poza tym te najważniejsze elementy naszego życia wcale nie są materialne. W codziennym biegu trudno to zauważyć, ale w momentach kryzysowych widać to wyraźnie. Życie staje się pełniejsze, kiedy myślimy o tym częściej, nie tylko wtedy, gdy coś się wydarzy.

Jak wygląda praktykowanie wystarczalizmu w pani życiu?

Na zakupach bardzo uważnie zastanawiam się, czy dana

W ŚWIECIE, KTÓRY CIĄGŁE CHCE OD NAS WIĘCEJ, UCZMY SIĘ MÓWIĆ: WYSTARCZY

Żyjemy w kulturze nadmiaru rzeczy, zadań, bodźców i oczekiwań, a jednak rzadko zastanawiamy się, jak wpływa to na nasze samopoczucie. Emily Rand-Przykaza, autorka książki „Wystarczalizm. Jak uporządkować mieszkanie, głowę i ducha”, przekonuje, że warto zaprosić umiar do naszych czterech kątów, naszego wnętrza i codziennych obowiązków

Jolanta Tęcza-Ćwierz



Emily Rand-Przykaza: Wystarczalizm polega na tym, by odnaleźć własny głos i własne, prawdziwe potrzeby

czy z podłogi. Jest takie pojęcie: „cicha lista rzeczy do zrobienia”. Rzeczy jakby do nas mówią: „posegreguj mnie”, „odłóż mnie”, „uporządkuj mnie”. Za każdym razem, gdy je widzimy, pojawia się myśl: powinnam to zrobić. I jeśli te drobne sygnały kumulują się dzień po dniu, zaczyna to ge-

nerować stres. A ponieważ w życiu jest mnóstwo rzeczy, których nie możemy kontrolować, myślę, że warto zadbać o te, na które mamy wpływ.

Słowem - uporządkowane otoczenie sprzyja uporządkowanemu myśleniu. Która część domu najczęściej zdra-

dza, co dzieje się w naszej głowie?

Myślę, że kuchnia. Jeśli dzień w dzień wygląda inaczej, niż byśmy chcieli, to często jest to sygnał jakiegoś wewnętrznego nieuporządkowania. Może jesteśmy przeciążeni obowiązkami? Wtedy dobrze jest się zastanowić, z czego można zrezygnować. A może zbyt dużo czasu ucieka nam w telefonie? Scrollowanie potrafi pochłonąć ogromny kawałek dnia. Wystarczy odłożyć telefon na godzinę i nagle okazuje się, że czas na sprzątanie się znajduje. Mam wrażenie, że przeceniamy to, ile sprzątanie naprawdę trwa. Zachęcam do włączenia stopera na pięć minut i sprawdzenia, ile można zrobić w tym czasie. Bardzo ważna jest też liczba posiadanych rzeczy. Jeśli mamy ich „bardzo, bardzo dużo”, to nawet uporządkowana kuchnia dalej wygląda jak zabałaganiona, bo ciągle tylko przekładamy przedmioty z miejsca na miejsce.

A może bałagan jest sygnałem, że w nas samych coś domaga się uważności?

Myślę, że te dwie rzeczy są ze sobą nierozdzielnie związane. Owszem, ktoś może przyjść i posprzątać nasz dom i przestrzeń będzie wyglądała idealnie, ale tylko do momentu, w którym wrócimy do starych nawyków. Jeśli nie zmienimy myślenia, bardzo szybko znajdziemy się dokładnie w tym samym miejscu. Porządkowanie bez refleksji działa jedynie na chwilę.

Jak zacząć tworzyć dom, który jest wsparciem, a nie kolejnym źródłem bodźców?

Najprościej zacząć małymi krokami - choćby od szuflady, w której od dawna odkładamy „różne rzeczy”. Wiele osób mówi, że nie ma czasu na duże porządki, dlatego warto zacząć od czegoś, co można zrobić szybko i co od razu da poczucie ulgi oraz sprawczości. Dobrym pomysłem jest też przejście po domu i wyrzucenie tego, co ewidentnie jest do wyrzucenia. To często drobiazgi, ale one również potrafią generować stres. Warto pamiętać, że to proces, a nie zawody. Wystarczalizm wdraża się dzień po dniu, aż staje się czymś naturalnym.

Jak zacząć praktykować „wystarczy”, kiedy mamy wrażenie, że naszym zadaniem jest wszystko?

Od ustalenia priorytetów. Warto zapytać: co naprawdę musi być zrobione teraz, a co może poczekać? Co w ogóle nie jest moim obowiązkiem? Żyjemy w czasach, w których wypada być zajęтым. W dobru tonie jest powiedzieć: „nie mam czasu, nie wyrażam”. Gdyby ktoś powie-

dział, że ma na wszystko czas, brzmiałoby to podejrzenie. Do tego dochodzi presja wielozadaniowości. Wymaga się od nas efektywności, często rozumianej jako ilość wykonanych zadań, a nie ich jakość. A ja myślę, że warto robić mniej, ale lepiej. Pomaga też spisanie listy obowiązków. Nie po to, by być jej niewolnikiem, tylko by uporządkować chaos w głowie. Kiedy wydaje nam się, że jest „tyle do zrobienia”, często okazuje się, że połowa rzeczy nie wymaga żadnego działania teraz.

Co powiedziała pani komuś, kto ma ogromny problem z odpuszczeniem, bo boi się, że „za mało” oznacza „za słabo” albo „nie dość dobrze”?

Zachęciabym, by zadał sobie pytanie, skąd bierze się ten lęk. Co stoi za przekonaniem, że trzeba robić wszystko i zawsze na sto procent? To bardzo ciężkie oczekiwanie i nikt nie jest w stanie mu sprostać. Jeśli sami nie zdejmujemy z siebie tego ciężaru, nikt inny tego za nas nie zrobi. Każdy z nas jest wystarczający już przez samo to, że jest. Czasem zapominamy o wartości zwykłego życia i zwykłego bycia człowiekiem. Kultura podpowiada nam, że samo „być” nie wystarczy, że trzeba jeszcze osiągnąć sukces, coś udowodnić. A przecież życie składa się głównie z szarej codzienności, i to ona ma największą wagę. Czekanie tylko na spektakularne momenty może sprawić, że nie docenimy tego, co dzieje się pomiędzy, a to właśnie tam często kryje się szczęście.

Pisze pani także o umiarze w cyfrowej rzeczywistości i w jedzeniu. Dlaczego te obszary również wymagają uważności?

Jeśli zaczynamy praktykować wystarczalizm w przedmiotach, naturalnie pojawia się potrzeba upraszczania innych sfer życia. Jedzenie jest tego świetnym przykładem. Z jednej strony mamy kult diet i zdrowego żywienia, z drugiej - epidemię otyłości. Świat oszalał na punkcie jedzenia, ale niewiele osób myśli o nim w wymiarze duchowym czy emocjonalnym. Praktyki takie jak post czy wstrzemięźliwość trochę odeszły do lamusa.

Gdyby miała pani sprowadzić „wystarczalizm” do jednego zdania, jak by ono brzmiało?

Proste życie to świadome życie. Świadomość jest absolutnie kluczowa. Wystarczalizm polega na tym, by odnaleźć własny głos i własne, prawdziwe potrzeby, a nie te narzucone z zewnątrz. Chciałabym, żeby każdy na chwilę się zatrzymał, zastanowił nad swoimi priorytetami i sprawdził, czy codzienne działania faktycznie im służą.

GRZYBOWY INDIANA JONES ODKRYWA TAJEMNICE

Gdzie inni widzą las, on widzi historię, zagadki i tropy prowadzące do najrzadszych grzybów świata. Piotr Grześ – leśnik z Wielkopolski, którego pasję ukształtowała babcia zesłana na Sybir – przemierza lasy od Promna po Kaukaz

Natalia Szećczyk



Siedzuń to kolejny, niezwykle mieszkaniec polskich lasów. Bardzo smaczny



Czasznica olbrzymia robi wrażenie. Ten okaz ważył 7 kilogramów i miał 150 cm obwodu. Czasznice są jadalne

Historie z jego wypraw brzmią jak gotowe scenariusze filmowe. Ale Kiedy Piotr Grześ – leśnik, certyfikowany klasyfikator grzybów i autor bloga „Grzybów znawca” – opowiada o swoich początkach, zaczyna od historii sprzed kilkadziesiąt lat. Jego babcia, córka leśnika zesłanego na Sybir, jako małe dziecko zbierała grzyby, by pomóc rodzinie przetrwać.

Ta opowieść żyła w domu od pokoleń. Rodzice Piotra również chodzili do lasu – z wiedzą, pokorą i szacunkiem do przyrody. To z nimi wyruszał na pierwsze wyprawy, te pachnące ściółką, poranną mgłą i koszmami pełnymi borowików.

Dziś mówi, że choć kocha sam moment zbierania, to najważniejsza stała się obserwacja. Może wrócić z pustym koszykiem – i być szczęśliwy. Bo dla niego liczy się spotkanie, moment, odkrycie. Nie kilogramy.

Mimo że przemierza Europę i kawał świata, jego serce bije w bardzo lokalnych rytmach. Najczęściej można go spotkać w Wielkopolsce: w Parku Krajobrazowym Promno, w Puszczy Zielonce, na trasie rowerowej między Kostrzynem a Poznaniem, w lasach Antoninka i dolinie Cybiny.

Nie potrzebuje wielkich wypraw, by coś znaleźć. Czasem wystarczy... droga do pracy.

Paradoks polega na tym, że gdy nie mam koszyka, trafiam na wyspy. A gdy przygotuję się idealnie, nieraz muszę się nachodzić – śmieje się Piotr.

Ponieważ ma zapas suszonych i mrożonych grzybów „na trzy lata”, coraz częściej zabiera tylko aparat. Nie zbiera – ogląda.

A najbardziej lubi momenty, kiedy las jest tylko dla niego. Cichy. Mroczny. Tajemniczy.

Wielkie spotkania

Każdy grzybiarz ma swoje marzenia. Jego były dwa: borowik królewski i muchomor cesarski – grzyb mityczny, ten z okładek atlasów.

Dziś może powiedzieć jedno: oba znalazł. I to w pięknych okolicznościach.

Wyprawa po muchomora cesarskiego to gotowy scenariusz filmowy. Najpierw research: opady, mapy, lasy, wysokości... Potem lot. Wynajęty samochód. Dojazd na miejsce. Kilka kroków w głąb lasu...

I tam był. Dokładnie w miejscu, które Piotr wytypował w domu, patrząc w ekran komputera. Na tym jednak lista poszukiwań się nie kończy. Piotr szukał też bocznika mikołajkowego na Cyprze, szczudłówki piaskowej na Wyspach

Kanaryjskich, kielonek błyszczących na Kaukazie, cookeiny w kostarykańskiej dżungli, gatunku czerwonej kurki na Karaibach.

To nie są „grzybowe wypadki”. To są grzybowe ekspedycje.

Okruchy niezwykłości

Choć łatwo wyobrazić sobie go jako samotnego wędrowca, prawda jest inna. Grzyby są dla niego czymś, co łączy – nie oddziela.

Zona i córka towarzyszą mu w wielu wyprawach. Córka od małego widziała rzeczy, które wielu grzybiarzy zna tylko z artykułów naukowych. Najpierw noszona w nosidle, potem w plecaku, teraz sama biegnąca po leśnej ścieżce.

Nie forsuję ich. Ale kiedy trafimy na coś ciekawego, cieszymy się tym razem – mówi.

A jeśli nie las? Też byłoby intensywnie.

Piotr od 20 lat trenuje kolarstwo górskie. Latem wniósł rower na Toubkal – najwyższy szczyt Afryki Północnej – a potem zjechał 2000 metrów w dół.

To była przygoda, której długo nie zapomnę – przyznaje bez wahania.

Dlaczego wciąż wraca do lasu?

Bo – jak mówi – nie da się znaleźć „wszystkich grzybów świata”. Każdy sezon wygląda inaczej, bo zmienia się klimat, pojawiają się nowe zjawiska, a stare rytmy przestają działać. To, co kiedyś było pewne, dziś wymaga obserwacji od zera.

Grzybiarstwo dla Piotra nie jest „odhaczaniem gatunków”. To proces, w którym im więcej wiedzy, tym więcej niewiadomych. Każde wejście do lasu może przynieść gatunek, którego nie spodziewa się nawet po latach doświadczeń. Zdarza się, że jedno wyjątkowe znalezisko warte jest całej wyprawy.

To właśnie ta nieprzewidywalność – drobne błyski niezwykłości wśród pozornie zwykłej ściółki – sprawia, że chce wracać. Las nie jest dla niego ucieczką od życia. Jest przestrzenią, w której to życie nabiera sensu i proporcji.



– Inni zbierali Pokemony, ja zbierałem grzyby – mówi Piotr Grześ. – W lesie jestem jak pies tropiący

PAPRYKARZ SZCZECIŃSKI, CZYLI PRL PRZETRWAŁ W KUCHNI

Wielbicie tego smakołyku, a jest ich i dziś niemało, mają swoje nieformalne święto 1 grudnia. Tego dnia, w 1968 r., paprykarz został opatrzony znakiem „Q”

Mariusz Grabowski

Oznaczało to, że jest nie tylko dobry, ale też stanowi dumę socjalistycznej gastronomii. Po pół wieku paprykarz wciąż ma się dobrze. Co więcej, ze skromnej przekąski awansował do katalogu dań „kultowych”, jak schabowy, pomidorowa z ryżem i sałatka warzywna.

Z zakresu konserw

Imaginarium PRL-owskiej gastronomii miało swoje ograniczenia: biedę, wieczny niedobór dóbr spożywczych i estetykę, która zbyt wyrafinowanie uważała za burżuazyjny przesąd. Budowniczy socjalizmu miał pożywiać się solidnie i narodowo w treści: zupami z wkładką mięsną, kotletami w towarzystwie polskich ziemniaków, zaś na deser owocami z PGR-owskich sadów.

W kwestii przekąsek dominowały ryby i nabiał, a z garmażu pasztetowe, kaszanki i salcesony. Gdy zatem w połowie lat 60. w szczecińskim „Gryfie”. Przedsiębiorstwo Połowów Dalekomorskich i Usług Rybackich, technologowie opracowali recepturę konserwy rybnej o oryginalnym smaku, asortyment dań gotowych znacząco się wzbogacił.

Było to możliwe, bowiem w 1962 r. Zakłady Rybne w Szczecinie połączono z Zakładem Produkcji Konserw PPDiu „Gryf”. W ten sposób powstał czolowy polski producent konserw rybnych. Paprykarz z „Gryfa” był ponoć wynikiem pomysłu racjonalizatorskiego na zagospodarowanie odpadów po wykrawaniu kostki rybnej z zamrożonych bloków rybnych. Poza mięsem w pierwotnym oryginalnym paprykarzu była pulpa z pomidorów, ryż, warzywa i przyprawy. Pierwsze puszkę paprykarza zeszły z taśmy produkcyjnej „Gryfa” w 1967 roku. 1 grudnia 1968 r. szczecińska puszkę paprykarza otrzymała wspomniany wyżej znak jakości.

Błękitka nie lubimy

Można zatem powiedzieć, że paprykarz zrodził się przypadkiem. – Kiedyś nasi technologowie ze statków-chłodni spróbowali w którymś z afrykańskich portów lokalnego przysmaku czop-

czop. Była w tym ryba, ryż i bardzo ostra przyprawa – pima – wspominał Bogusław Borysewicz, założyciel Zakładu PPDiu „Gryf”.

Według normy ZN-67/ZGR-09815 obowiązującej od 1 lutego 1967 r. paprykarz szczeciński to „rozdrobiona masa powstała przez wymieszanie mięsa ryb z ryżem, koncentratem pomidorowym, olejem, cebulą, przyprawioną pieprzem nigeryjskim”. Potem recepturę wielokrotnie modyfikowano i zmieniano. W miarę narastającego kryzysu gospodarczego i dostępności danego surowca zmieniał się także skład paprykarza – stosowano późniejsze gatunki ryb, np. błękitka zamiast mintaja, wyeliminowano pime, a ryż próbowano zastąpić kaszą.

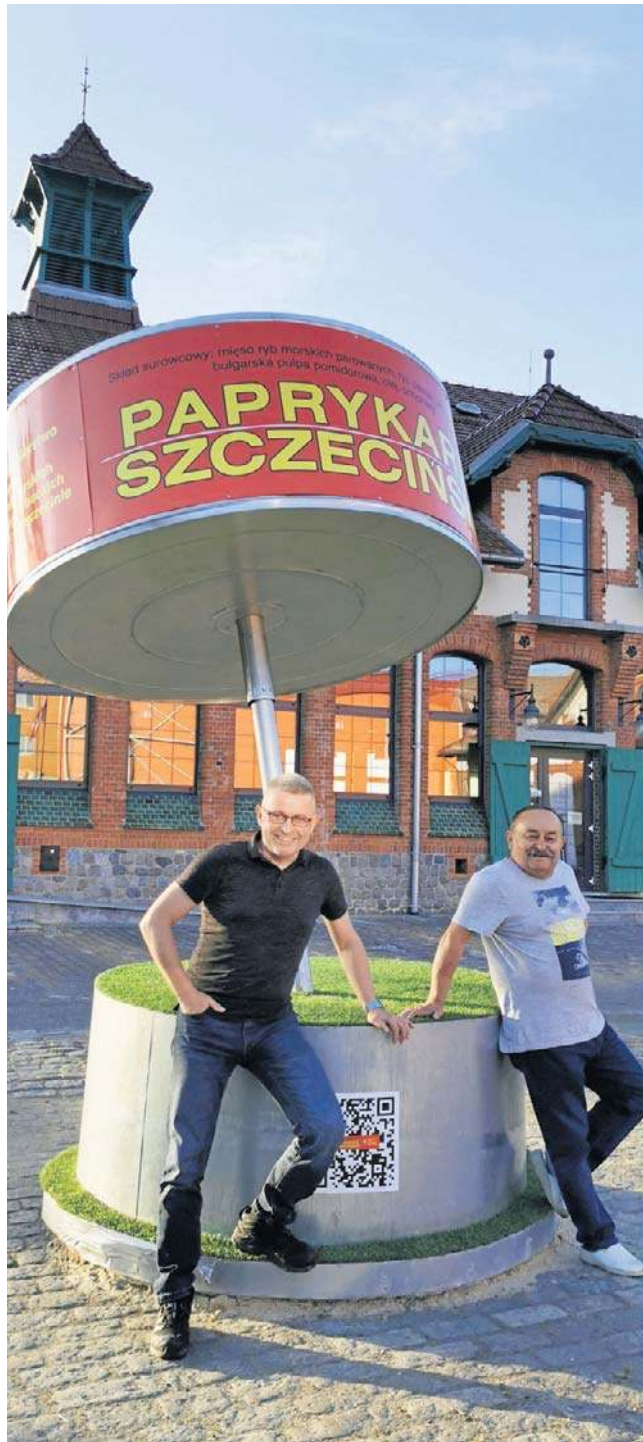
Paprykarz zyskał niezwykłą popularność w kraju – był nieodłącznym elementem stołówek zakładowych, obozów harcerskich i kantyn wojskowych – ale trafiał także za granicę. Eksportowany był m.in. do ZSRR, Danii, USA, Japonii, Jordanii, Liberii, Węgier, Wybrzeża Kości Słoniowej, a nawet egzotycznego Togo.

Był patent czy nie?

Marek Rudnicki, dziennikarz „Głosu Szczecińskiego”, przeprowadził w 2011 roku śledztwo w niezwykle ważkiej sprawie: czy paprykarz szczeciński został w PRL-u opatentowany? Tak twierdził m.in. Bogusław Borysewicz, ale dokumentów nie udało się odnaleźć. – Nasze produkty otrzymywały znak towarowy i były zgłaszane do urzędu patentowego. (...) Taki patent dostał np. „Koreczki szczecińskie” i są pośrednim dowodem, że taki patent istniał – przypomniał.

W Urzędzie Patentowym RP informują, że firma PPS „Gryf-ryb” (następczyni „Gryfa”) trzy razy ubiegała się o patent dla „Paprykarza szczecińskiego”, ale dopiero w latach 1992-1996. Dostała decyzję odmowną. Dlaczego? Nie wiadomo. Dodajmy, że na przełomie lat 60. i 70. aż osiem wyrobów „Gryfa” otrzymało znak jakości „Q”, w tym bardzo popularna niegdyś „Sałatka pikantna z makreli” oraz „Brysling w oleju aromatycznym”.

Dziś paprykarz w różnych wersjach i od różnych producen-



Twórcy instalacji pomnika paprykarza szczecińskiego, który kiedyś zdobił Szczecin: Bogusław Dydek i Jacek Jastrzębski

tów widnieje nawet na ministerialnej liście produktów tradycyjnych województwa zachodniopomorskiego – obok „Pasztetów” Bogumiły Połańskiej, jezirowego ogórka kiszzonego, kapusty kiszzonej z beczki, ogórka koblarskiego, chleba razowego

koprzywieńskiego, śliwek z Dębiny, miodu drahimskiego oraz trójniaka.

Chleb, paprykarz, wódka

W 2003 r. Adam Zadworny z „Gazety Wyborczej”, pisząc

tekst o paprykarzu, przeprowadził niecodzienny eksperyment: rozesłał wśród znajomych ankietę na temat jego smaku. Odezwy był jednoznaczne: „Bywał mniej lub bardziej pikantny, cholera wie, od czego to zależało”; „Czasami jak rzucili gorszą partię, to kręgosłupy się trzęsły, kawałki płetw, łusek. Ale w akademiku wszystko się jadło”; „Kiedyś próbowałem go podgrzać, bo na puszcze było napisane, że można też jeść na gorąco. Wyszło coś strasznego”.

Co ciekawe, nikt nie przyznał się do tego, że smaku tego produktu nie zna. To z jednej strony efekt jego dawnej sławy, z drugiej zaś niekończącego się kryzysu gospodarczego w Polsce Ludowej. Paprykarz często nie spełniał bowiem wymogu pierwotnej normy zawartości 50 proc. mięsa rybiego, a poza mięsem trafiały do niego wszelakie odpady, nierzadko budzące grozę. W kilku numerach „Kuriera Szczecińskiego” z połowy sierpnia 1972 roku alarmowano, że w pewnej partii paprykarza znaleziono „elementy metalowe przypominające fragmenty łożyska tocznego”.

Specjał ze Szczecina miał za to podstawową zaletę: był ogólnie dostępny, tani i rzucił się w oczy z powodu czerwonej etykiety. Pasował jako przekąska, mógł być zagryzką do alkoholu, przydawał się na wycieczkach i przy ognisku. W 1970 r. puszkę paprykarza kosztowała 2,5 zł, tyle co bochenek chleba. Dla porównania: kilo cukru 2,70 zł, litr mleka 3,30 zł, kilo margaryny 34 zł, tabliczka czekolady 15 zł, a pół litra wódki 50 zł.

Zrodzone z nostalgii

Gdyby klasyfikować kulinaria wedle sentymentu, paprykarz trafiłby do popularnej kategorii „kiedyś wszystko było lepsze”. Rosół podczas domowych obiadów był bezkonkurencyjny, bo z „prawdziwej kury”; kaszankę można było przysmażyć na patelni; salcesony były smaczniejsze, bo w ogóle były – od włoskiego po brunswicki. Piwo „Łomża”, produkowane w PRL-owskim browarze nie miało zaś konkurencji na wschód od Wyszki.

Nawet bułka z pieczarkowym farszem, która uchodziła w późnych latach 80. za rodzinny fast food, spełniała kanony gastronomicznej satysfakcji. Podobnie jak bajaderka – ciasto z resztek, które mogłoby pretendować do miana ówczesnego polskiego zero waste, gdyby nie narodziło się prozaicznie, z kryzysu.

Nostalgii nie wolno lekceważyć, ale nie można przeceniać. Autorzy wpisu na rządowej stronie Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi zapomnieli, że paprykarz szczeciński to ostatecznie jedynie puszkę rybną, nawet jeśli owiana sentymentem, a nie potrawa definiująca polską gastronomię. „Paprykarz szczeciński zdobywa wiele nagród, m.in.: I miejsce w konkursie »Nasze Kulinarne Dziedzictwo – Smaki Regionów«, a także III miejsce w wakacyjnym konkursie kulinarnym »Zachodniopomorskie Je Je Je!«”.

Echem tam pompowanej sławy jest m.in. „pomnik” Paprykarza Szczecińskiego autorstwa Bogusława Dydka i Jacka Jastrzębskiego – rodzaj instalacji przedstawiający monstrualną puszkę, który wabi turystów na plac Gryfitów na Łasztowni w Szczecinie. Walory estetyczne pomnika są dyskusyjne, wrażenie – piorunujące.

„Przez nas wykonane”

Na koniec kilka słów o jeszcze jednym elemencie: paprykarz szczeciński jest co prawda przykładem regionalnej gastronomicznej wynalazczości swoich czasów, ale z czasem stał się memicznym elementem ogólnonarodowej dumy. Podobnie jak majonez kielecki, flaki zamojskie czy śliwka nałęczowska. Ma to niewiele wspólnego z daniami, które zrodziły się w Polsce Ludowej z powodu narodowych kompleksów. Takie fenomeny kulinarne, jak fasolka po bretońsku, śledź po japońsku, kurczak po mandaryńsku, ryba po grecku, sałatka grecka czy wreszcie rodzimej produkcji włoska mortadela zaliczyć można do dań „kuchni wyobraźni” z czasów, gdy Polską rządziли towarzysze Gomułka i Gierka.

Elżbieta Szczepańska w „Bohemistyce”, czasopiśmie Uniwersytetu Jagiellońskiego (nr 2 z 2020 r.), w tekście „Na tropie czeskich i polskich ciekawostek kulinarnych” zalicza te dania do kategorii „marzeń” i podsumowuje: „Ich nazwy świadczą raczej o polskich wyobrażeniach o tamtejszych kuchniach, ale jednocześnie odpowiadają raczej polskiemu gustowi kulinarnemu”.

Paprykarz nie jest jednak „wyobrażony” – jest całkowicie realny, nie ma odpowiednika w innych gastronomiach. „Patrzcie, mówimy, to jest nasze, przez nas wykonane” – można by cytować tekst z „Misia”. Przynajmniej jeśli idzie o puszkę rybną coś się nam za komunę udało.

„PÓŁNOC-POŁUDNIE”. PRZYJAŹŃ I MIŁOŚĆ W CIENIU BRATOBÓJCZEJ WOJNY

Zrealizowany z wielkim rozmachem, najdroższy w dotychczasowej historii telewizji, angażujący niekwestionowane gwiazdy ekranu i z tysiącami kostiumów z epoki – minęło 40 lat od premiery serialu „Północ-Południe”

Wojciech Obremski

To była jedna z tych produkcji przeznaczonych na mały ekran, które śmiało dorównywały największym hollywoodzkim obrazom – wciągająca i dramatyczna fabuła, piękne scenografie, oddanie ducha tamtych lat i przejmująca muzyka Billa Conti’ego (wcześniej odpowiadającego za ścieżkę dźwiękową m.in. w „Dynastii”) – nic dziwnego, że serial „Północ-Południe” skradł serca widzów na całym świecie.

Gwiazdy w każdym kadrze

Podzielony na trzy serie (w tym przypadku trzy księgi, analogicznie do tomów pierwowzoru) cykl oparto o powieść Johna Jakes’a o tym samym tytule. Została tu przedstawiona historia wieloletniej przyjaźni dwóch rodzin – właścicieli ziemskich z amerykańskiego Południa oraz przemysłowców z Północy. Mainowie posiadający niewolników to plantatorzy z Karoliny Południowej, podczas gdy Hazardowie, mieszkający w małym mieście w Pensylwanii, czerpią zyski z przemysłu, głównie hutniczego. Relacje między dwoma klanami oddają ówczesne podziały między Północą a Południem, co ostatecznie prowadzi do wojny secesyjnej, która wystawia zażyłość rodzin na ciężką próbę, stawiając je po przeciwnych stronach konfliktu.

Serial stał się ważnym punktem zwrotnym dla wielu aktorów – ugruntował pozycję Patricka Swayze’go (wcielił się w Orry’ego Maina), który miał wówczas za sobą zaledwie kilka, niezbyt głośnych ról telewizyjnych i kinowych. Nie bez znaczenia dla popularności produkcji był fakt, że zaproszono do niej także prawdziwe gwiazdy ekranu, takie jak: Lesley-Anne Down, Gene Kelly, Peter O’Toole, Kirstie Alley czy Elizabeth Taylor. W sumie przez plan przewinęło się ponad 140 aktorów (nie licząc statystów). Na jego potrzeby uszyto około 8700 kostiumów z epoki, z czego 3300 damskich (każda z głównych aktorek miała ich około 30).

Uczniowie statystami i wstawiony Swayze

W rolę George’a Hazarda wcielił się James Read, który spędził wcześniej kilka miesięcy na ranchu Patricka Swayze’ego, gdzie uczył się jazdy konnej.

Twórcy zadbali o każdy szczegół: jako że współczesna akademia wojskowa West Point w Nowym Jorku różniła się diametralnie od tej z roku 1842, sceny dziejące się w akademii nakręcono w Historic Jefferson College w Natchez. Co ciekawe, kadeci tej szkoły wystąpili jako statyści, dostając nawet pozwolenie od władz na zapuszczenie włosów. Zaś w pobliżu uczelni, na potrzeby serialu, zainscenizowano bitwę pod Churubusco między wojskami amerykańskimi i meksykańskimi, a w zdjęciach wzięło udział czternaście grup rekonstrukcyjnych.

Nie wszystko na planie szło gładko: jak wspominała Kirstie Alley, Patrick Swayze miał zwyczaj być na planie pod wpływem alkoholu. – To nie był idealny facet. Powiem tylko, że Patrick zawsze sporo pił, a na planie serialu „Północ-Południe” niemal cały czas był wstawiony – twierdziła po latach Alley. Mało tego: w 2012 roku ogłosiła ona światu, że podczas kręcenia serialu flirtowała z aktorem (oboje byli wtedy w związkach małżeńskich, z czego Alley od kilku lat była żoną Petera Stevensona, który również zagrał w serialu, wcielając się w Billy’ego Hazarda). Mimo to miała przyznać się żoną Swayze’ego, zaś podczas pogrzebu aktora w 2009 roku poproszono ją o wygłoszenie mowy. – Bardzo chciałam mieć romans z Patrickiem Swayze, ale oboje byliśmy po ślubie, więc nic by z tego nie wyszło – zdradziła Alley w programie „Celebrity Big Brother”. Trzeba jednak dodać, że wielu fanów Swayze’ego nie wierzyło w rewelację opowiedzianą przez Kirstie Alley.

Cztery małżeństwa i rozwód

Zresztą praca na planie najwyraźniej sprzyjała gorącej atmosferze – podczas kręcenia serialu „Północ-Południe” narodziły się aż cztery małżeństwa.



Nie bez znaczenia dla popularności produkcji był fakt, że zaproszono do niej także prawdziwe gwiazdy ekranu, takie jak choćby Patrick Swayze i Lesley-Anne Down

I tak, ślub wzięli James Read i Wendy Kilbourne, którzy w serialu grali męża i żonę (George Hazard i Konstancja) co, jak wiadać, spodobało im się do tego stopnia, że postanowili spróbować małżeństwa na serio.

Na ślubnym kobiercu stanęli także Jonathan Frakes (Stanley Hazard) i Genie Francis (Brett Main Hazard). Wprawdzie oboje znali się już wcześniej z planu serialu „Bare Essence”, ale dopiero ponowne spotkanie w trakcie kręcenia „Północy-Południa” zakończyło się ostatecznie ślubem.

Lesley-Ann Down (serialowa Medeline Febray LaMotte) zaś zakochała się w asystencie kamerzysty Don FauntLeRoyu, który wkrótce został jej trzecim mężem. Z kolei kamerzysta Chris Hager, którego wprawne oko wypatrzyło na planie Terri

Garber (grającą siostrę Orry’ego), niedługo potem ożenił się z nią – tutaj niestety małżeństwo zakończyło się po zaledwie trzech latach.

Księga „Północy-Południa” (zatytułowana „Północ i Południe”) miała telewizyjną premierę 3 listopada 1985 roku i do dziś pozostaje siódmym najchętniej oglądanym miniserialem w historii telewizji. Emisja II („Miłości i wojny”) rozpoczęła się 4 maja 1986 roku, zaś na księgę III („Niebo i piekło”) widzowie musieli czekać prawie osiem lat (do 27 lutego 1994 roku). Na pierwszy rzut oka wiadać, że seria ta powstała trochę na siłę, jednak wypadła ją nakręcić, gdyż autor powieściowego pierwowzoru John Jakes również napisał trzy tomy, zaś jego zamysłem było ukazanie lo-

sów bohaterów przed wojną secesyjną, w jej trakcie i po jej zakończeniu.

Jednak kiedy „powojenne” odcinki pojawiły się na ekranie, widzowie i krytycy byli rozczarowani; zarzucali twórcom odejście od rozmachu i atmosfery poprzednich sezonów, w dodatku nie pomagał fakt, że Patrick Swayze odmówił powtórzenia swojej roli w księdze III. Początkowo zamierzał pojawić się w epizodycznej roli, jednak zrezygnował w ostatniej chwili, z powodu „różnic twórczych”. Twórcy wykorzystali więc jego postać, korzystając z retrospekcji z poprzednich dwóch odsłon cyklu.

Numer jeden nad Wisłą

Trzeba też dodać, że serial różnił się w kilku aspektach od li-

terackiego pierwowzoru. Przykłady? Pomijając fakt skupienia się bardziej na wątku miłosnym niż na działaniach wojennych, serialowy Orry jest połączeniem książkowego Orry’ego i jego starszego brata Coopera (który pojawia się dopiero w ekranizacji „Nieba i Piekła”). Ponadto podczas wojny z Meksykiem Orry z książki traci rękę. W serialu to pominięto, bo, jak przyznał sam John Jakes, filmowcy nie chcieli, by widzowie zamiast śledzić akcję filmu, zastanawiali się, gdzie Patrick Swayze ma ukrytą kończynę. W dodatku w wersji książkowej Orry nie dożywa końca wojny (ginie jeszcze w pierwszym tomie), zaś w serialu traci życie na początku sezonu trzeciego.

Aby najlepiej urealnić epokę wojny secesyjnej, nie szczędzono środków – całość kosztowała ponad 25 milionów dolarów. Kiedy pierwszy odcinek „Północy-Południa” pokazała w Polsce telewizyjna „Jedynka” (w niedzielny wieczór 18 lutego 1990 roku), serial z miejsca stał się przebojem numer jeden, a w porze emisji pustoszyły ulice. Nic dziwnego: dla polskiego widza była to pierwsza produkcja telewizyjna o takiej skali rozmachu. Nakręcona również z niemałą pompą „Dynastia” miała zawitać nad Wisłę dopiero za kilka miesięcy, toteż nic dziwnego, że kolejne odcinki „Północy-Południa” były jedynym tematem rozmów w poniedziałkowe poranki w szkołach, biurach czy fabrykach. Gdy emisję powtórzono na przełomie lat 1995/96 w ramach programu „Seriale wszech czasów”, cykl nadal cieszył się sporą popularnością.

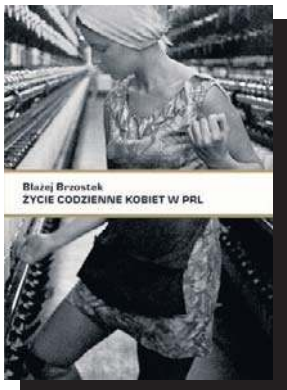
Sukces „Północy-Południa” sprawił, że myślano o kontynuacji serialu. Kilkanaście lat temu zapowiedziano nakręcenie cyklu „Północ-Południe: Nowe pokolenie”. Produkcja miała skupić się na losach potomków Mainów i Hazardów, przez pryzmat istotnych wydarzeń XX wieku, jednak z planów tych nic nie wyszło.

Imoże to lepiej, bo, jak uczy historia, udoskonalanie na siłę czegoś, co doskonałe, daje nie- rzadko odwrotny efekt. A, jak wiemy, w przypadku seriali, zasada ta sprawdza się bardzo często.



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



Baba z mięsem i dowód miłości. Życie w Polsce ludowej oczami kobiet

Każda wizyta w studiu telewizyjnym wiąże się z koniecznością odwiedzenia charakteryzatorów. Za makijażami nie przepadam, wcieranie mi w twarz warstw podkładów, kremów i pudrów traktuję jako zło konieczne. Jak wizyta u dentysty – nie lubi się tego, ale trzeba. Trzeba też wypracować metody przetrwania. Ja mam własną: ucinam sobie pogawędki z paniami zajmującymi się makijażami. One się zwykle trochę nudzą, zawsze są bardzo sympatyczne, więc krótki small talk pozwala uratować sytuację.

I właśnie przy takiej okazji wróciłem do „Chłopek”. Książka Joanny Kuciel-Frydryszak ukazała się dwa lata temu i okazała się fenomenem; do końca 2024 r. sprzedała się ponad pół miliona egzemplarzy. Książki faktograficzne w Polsce sprzedają się zwykle w nakładach rzędu (max) 5 tys. sztuk, a tutaj mamy 100 razy więcej. I ten fenomen ciągle żyje – o czym przypomniła mi pani makijażystka, która czytała właśnie „Chłopki”, a o czym się przekonałem, widząc tę książkę na jej biurku. Emocje, z jakimi mi o niej opowiadała, dowodziły, dlaczego ten tytuł tak świetnie się sprzedał.

Do księgarni właśnie trafiła książka, która sukces „Chłopek” chciałaby powtórzyć. „Życie codzienne kobiet w PRL” to szczegółowy, faktograficzny opis tego, jak wyglądało funkcjonowanie kobiet w Polsce Ludowej. Właśnie ta szczegółowość sprawiła, że ten tytuł zrymował mi się z dziełem Kuciel-Frydryszak. W „Życiu codziennym...” – podobnie jak w „Chłopkach” – odżywają czasy, które każdy z nas zna (z autopsji, z opowiadań, z przekazów kulturowych), które wszyscy mamy zakodowane w narodowym DNA.

Autor opisywanej tutaj książki trafnie posługuje się różnego rodzaju terminami, które w latach PRL-u były powszechne, a dziś już stały się nieaktualne. „Baba z mięsem”, „goździk i rajstopy”, „młode małżeństwo” – to wszystko były bardzo charakterystyczne zwroty dla okresu do 1989 r. „Dowód miłości” – określenie będące synonimem seksu, znane tylko wtedy. Oddzielna sprawa, że o seksie w książce dużo mniej niż o religii i Kościele – bo też opisów doświadczeń religijnych w dokumentach źródłowych pozostało dużo więcej niż doświadczeń o charakterze cielesnym. Kolejny wyróżnik tamtej epoki w porównaniu z rzeczywistością.

Książkę czyta się dobrze, mnóstwo smacznych wyjątków. Ale czy ma ona szansę powtórzyć fenomen „Chłopek”? Jednak nic dwa razy się nie zdarza. Tym bardziej, że autorem książki o kobietach – w przeciwieństwie do „Chłopek” – jest mężczyzna.

Błażej Brzostek „Życie codzienne kobiet w PRL”, wyd. PIW, Warszawa 2025, cena 79 zł



Wszystkie nerwice Zbigniewa Cybulskiego

Biografia chyba najbardziej ikonicznego aktora polskiego w XX w. Autorka szczegółowo opisuje życie prywatne Cybulskiego – jakże odmienne od jego publicznego wizerunku.

Dorota Karaś „Cybulski. Podwójne salto”, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 69,99 zł



Wigilia zawsze była najważniejsza

Zbliża się Boże Narodzenie, okres świętowania. A jak to robili nasi przodkowie? Książka przybliży zwyczaje świąteczne Słowian. Wigilia jest zawsze najważniejsza.

Anna Stasiak „Słowiański przewodnik po świętowaniu”, wyd. Insignis, Kraków 2025, cena 79,99 zł



Dlaczego mężczyźni są ciągle zmęczeni

Po bestsellerowej „Sztuce obsługi penisa” Gryżewski powraca z kolejnym męskim poradnikiem. Próbuje w nim zrozumieć, czemu współczesny mężczyzna jest tak zmęczony.

Andrzej Gryżewski „Sztuka obsługi mężczyzny”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 59,90 zł



Opowieść wigilijna z Płocka

Bohaterem tej opowieści wigilijnej nie jest Ebenzer Scrooge, tylko prokurator Lewandowska. Akcja nie dzieje się w Londynie, tylko w Płocku. Ale tutaj również mamy sporo powrotów do przeszłości.

Jacek Ostrowski „Opowieść wigilijna”, wyd. Skarpa Warszawska, Warszawa 2025, cena 49,90 zł



Dlaczego Europa i Azja są tak ważne

W USA trwa dyskusja o tym, czy one muszą myśleć o Europie. Ta książka przypomina, że Eurazja to serce świata.

Hal Brands „Stulecie Eurazji. 100 lat konfliktów i zimnych wojen, które ukształtowały współczesny świat”, wyd. Prześwity, Warszawa 2025, cena 79,90 zł



Polski wywiad i hinduski trop

Powieść szpiegowska, której fabuła opiera się mocno na faktach z powojennej historii Polski. Akcja płynie między Polską lat PRL, Europą – ale też Indiami.

Marcin Faliński „Indyjska szarada”, wyd. Czarna Owca, Warszawa 2025, cena 49,99 zł



Tragedia Kryptona i regres na Ziemi

Komiks będący swoistym życiem po życiu serii o Supermanie. Po tragedii na Kryptonie na Ziemi znikają zdobywcze cywilizacyjne. Superbohaterowie muszą wsiąść na koń.

Tom Taylor „Wojna Trzech Królestw. Mroczni Rycerze ze Stali”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 139,99 zł



Miłość, strata i swingujący Londyn

Efektownie wydany (barwione brzegi) romans z czasów swingującego Londynu. Powoli pękają surowe powojenne normy społeczne, młodzi ludzie zrzucają moralny gorset. A w tle rodząca się właśnie wtedy muzyka rockowa.

Lucinda Riley „Ballada o miłości”, wyd. Albatros, Warszawa 2025, cena 59,90 zł



Zerwać maskę z twarzy Gatesa

Biografia twórcy Microsoftu, który demaskuje jego mit miliardera troszczącego się o potrzebujących. Dużo o kulisach wielkiej polityki i biznesu.

Tim Schwab „Problem z Billem Gatesem. Rozliczenie z mitem dobrego miliardera”, wyd. Insignis, Kraków 2025, cena 59,99 zł



Najsłynniejsze oratorium świata

„Mesjasza” Georg Friedrich Händel skomponował w 1741 r. Ta książka przybliży nam historię i znaczenie tego epickiego oratorium. Pozwala lepiej zrozumieć przesłanie.

Błażej Matusiak „Mój Mesjasz. Przewodnik po oratorium G.F. Haendla”, wyd. W Drodze, Poznań 2025, cena 34,90 zł



Co się stanie, gdy w szkole cofnie się czas

„Umarłej klasy nie oceniam” – śpiewał Obywatel GC w piosence o zjazdach licealnych po latach. Ta książka też potwierdza, że szkoła to nie jest miejsce, w którym warto cofać się w czasie.

Wojciech Wójcik „Kapsuła”, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2025, cena 57,90 zł



Gdy Batman potrzebuje ratunku

Czy Batman zawisnie? Szubienica już stoi w centrum Gotham City – ale też Mroczny Rycerz ma przyjaciół, którzy ruszają mu z pomocą, z Catwoman na czele. Zdążą?

Ram V, Jason Shawn, Alexander „Gothamski Nokturn. Intermezzo”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 69,99 zł



Wszyscy ludzie Hitlera

Nazizm, Holocaust mają twarz Hitlera – ale przecież on sam nie byłby w stanie zbudować tak wielkiej fabryki śmierci.

Evans opisuje najważniejsze osoby z jego otoczenia. Richard Evans „Ludzie Hitlera. Twarze Trzeciej Rzeszy”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 119,90 zł



Polski Dzik Zachód

Szczecin tuż po wojnie nazywano „polskim Dzikim Zachodem”. Koprowski przypomina, w jaki sposób to miasto się polonizowało.

Marek A. Koprowski „Przez krew i zgliszczą. Odrodzenie polskiego Szczecina”, wyd. Replika, Poznań 2025, cena 69,90 zł



Bitwy i wojny pokazane na infografikach

Zbiór czytelnych i działających na wyobraźnię infografik opisujących wojny – od bitwy pod Maratonem do wojny atomowej. Sprawdzi się jako pomoc szkolna.

Vincent Bernard, Julien Peltier, Laurent Touchard „Historia wojen. Infografiki”, wyd. Rebis, Poznań 2025, cena 75 zł



Skąd właściwie wzięła się Lolita

Tak naprawdę miała na imię Dolores. Powieść z 1955 r. o fascynacji erotycznej 12-letniej dziewczynką, przez głównego bohatera zwaną Lolitą, to klasyka literatury. Teraz powraca w eleganckim wydaniu.

Vladimir Nabokov „Lolita”, wyd. W.A.B., Warszawa 2025, cena 69,99 zł

NOWA ENERGIA REGIONALNE FORUM EKONOMICZNE KIELCE 2025. WYZWANIA I PRIORYTETY

Ministrowie, eksperci i przedsiębiorcy dyskutowali o przyszłości i rozwoju

Anna Bilska
Kielce

We wtorek, 25 listopada, zakończyło się w Centrum Kongresowym Targów Kielce dwudniowe Nowa Energia Regionalne Forum Ekonomiczne Kielce 2025.

Wśród gości pierwszego dnia znaleźli się wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz, minister energii Miłosz Motyka oraz wielu innych znakomitych gości - fachowców, polityków, samorządowców i przedsiębiorców. Wszyscy spotkali się, by wymienić poglądy na temat wyzwań i możliwości, które niesie ze sobą rozwój energetyki.

Oficjalne otwarcie miało miejsce w poniedziałek, a dokonał go minister energii Miłosz Motyka. Jednym z kluczowych punktów programu był panel dyskusyjny, w którym udział wzięli wybitni eksperci oraz przedstawiciele kluczowych instytucji związanych z sektorem energetycznym.

Nowa Energia Regionalne Forum Ekonomiczne Kielce to wydarzenie, które przyciągnęło uwagę zarówno lokalnych przedsiębiorców, jak i specjalistów z całego kraju. Główną częścią programu był panel, w którym uczestniczyli minister energii Miłosz Motyka, a także szerokie grono ekspertów.

Miłosz Motyka podczas swojego wystąpienia wyraził entuzjazm z powodu uczestnictwa w tak ważnej dyskusji. - Bardzo się cieszymy, że możemy wziąć udział w dyskusji, która dotyczy przedsiębiorców nie tylko z województwa świętokrzyskiego, ale i z całej Polski - podkreślił.

Perspektywy dla miksu energetycznego Polski

Podczas swojego wystąpienia minister skupił się na temacie miksu energetycznego, który będzie kluczowy dla przyszłości Polski. - Polska naprawdę wie, czego chce w zakresie miksu energetycznego i tego, jak on ma w przyszłości wyglądać. Mamy tu polityczny i społeczny konsensus - mówił Miłosz Motyka.

Zaznaczył, że w perspektywie długoterminowej energetyka jądrowa, we współpracy z odnawialnymi źródłami energii oraz morskimi farmami wiatrowymi, do 2030 roku stanowić będzie podstawową część



- Warto nie ulegać zabobonom, kłamstwom, tylko jasno i wyraźnie stawiać na niezależność energetyczną - mówił szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz

miksu. Dodatkowo, minister podkreślił rosnącą rolę magazynów energii, które stają się nieodłącznym elementem transformacji energetycznej.

Minister odniósł się również do inwestycji w odnawialne źródła energii, podkreślając ich opłacalność. - Inwestujemy w odnawialne źródła, bo koszty technologii spadają. Te inwestycje są po prostu tańsze - wyjaśnił.

Wizja patriotycznej edukacji młodzieży

Wśród obecnych na Regionalnym Forum Ekonomicznym w Kielcach był wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz.

Spotkanie było okazją do wymiany poglądów na temat wyzwań i możliwości, które niesie ze sobą rozwój energetyki.

Minister Kosiniak-Kamysz podkreślił wagę kształtowania patriotycznych postaw wśród młodego pokolenia. W przemówieniu skierowanym do kadetów i uczniów klas mundurowych podkreślił znaczenie ich roli w budowaniu bezpieczeństwa i chwały Rzeczypospolitej.

- Dziękuję, że jesteście. To dla nas wielkie wyróżnienie móc spotkać się z tymi, którzy budują siłę, obronność, swoją wiedzę budują chwałę Rzeczypospolitej. To brzmi bardzo dumnie, ale tak jest w istocie. Tylko wychowanie młodzieży w miłości do ojczyzny, w duchu patriotycznym, jest wielkim wyzwaniem i wyróżnieniem - zaznaczył podczas swojego

wystąpienia Władysław Kosiniak-Kamysz.

Minister zwracał uwagę na konieczność inwestycji w cyberbezpieczeństwo oraz podkreślał rolę kampanii promujących wartości patriotyczne.

Wyzwania i priorytety energetyczne

Minister Kosiniak-Kamysz odniósł się także do współczesnych wyzwań energetycznych. Podkreślił znaczenie niezależności energetycznej oraz bezpiecznych źródeł energii.

- Warto nie ulegać zabobonom, kłamstwom, tylko jasno i wyraźnie stawiać na niezależność energetyczną i bezpieczną energię. Ona jest bezpieczna w pozyskaniu, ale też bezpieczna, jeśli chodzi o potencjalne ryzyko zaatakowania. Setek tysięcy przydomowych elektrowni nie da się zlikwidować w ciągu jednej nocy czy dnia. A można trzy czy cztery elektrownie węglowe wyłączyć w ciągu jednego nalołu - tłumaczył.

Władysław Kosiniak-Kamysz podkreślił konieczność rozwoju rozproszonych źródeł energii jako sposobu na zwiększenie bezpieczeństwa energetycznego kraju. Taki kierunek działań może skutecznie zmniejszyć zależność od dużych elektrowni węglowych i zwiększyć odporność Polski na potencjalne zagrożenia.

Wspólna wizja rozwoju boks w armii

Podczas Regionalnego Forum Ekonomicznego Kielce 2025

doszło do ogłoszenia ważnego projektu. Wojsko Polskie i Polski Związek Bokserski przedstawili wspólną wizję rozwoju boks w armii. W wydarzeniu uczestniczyli najważniejsi dowódcy, przedstawiciele Polskiego Związku Bokserskiego, eksperci oraz trenerzy, a kluczowe wystąpienia wyznaczyły nowy kierunek szkolenia żołnierzy i klas mundurowych. Byli między innymi: generał broni Marek Sokołowski, dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych, generał dywizji Sławomir Drumowicz, zastępca dowódcy generalnego RSZ, pułkownik Mariusz Denkwicz, szef Centralnego Wojskowego Zespołu Sportowego, Grzegorz Nowaczek, prezes Polskiego Związku Bokserskiego, pułkownik Mirosław Bembo-wicz, szef Oddziału Wychowania Fizycznego i Sportu DG RSZ.

- Przy każdej jednostce wojskowej w Polsce chcemy powołać do życia sekcję bokserską. To ogromny projekt i myślę, że będzie to ogromny krok w rozwoju polskiego boks olimpijskiego. Myślę, że z korzyścią dla wojska i naszych sportowców, ponieważ boks to wojsko kształtują silne charaktery i przede wszystkim samodyscyplinę - powiedział Grzegorz Nowaczek, prezes Polskiego Związku Bokserskiego.

Czy tradycja może być innowacyjna?

We wtorek jednym z tematów paneli był „Biznes przyszłości”. Panel otworzyli marszałek województwa świętokrzyskiego Renata Janik i pre-

zes Makroregionu Południe Polska Press Dariusz Kołacz.

Pani marszałek na wstępie poinformowała o wielu działaniach skierowanych do pracodawców i pracowników, jakie oferuje województwo.

Czeka nas mieszkaniowa rewolucja?

We wtorek, podczas drugiego dnia Nowa Energia Regionalnego Forum Ekonomicznego, gośćmi panelu poświęconemu mieszkaniowej rewolucji i rządowemu programowi byli Tomasz Lewandowski, wiceminister rozwoju i technologii, oraz poseł Andrzej Szejna.

O rewolucyjnym programie oraz o tym, kto na nim skorzysta, rozmawialiśmy z wiceministrem Lewandowskim, posłem Andrzejem Szejną oraz ekspertami w dziedzinie mieszkalnictwa: Marcinem Kowalskim - założycielem Eko Invest, firmy działającej w sektorze budownictwa od ponad 25 lat; Marcinem Maternym - ekspertem rynku nieruchomości, od 25 lat działającym w sektorze handlowym, biurowym i mieszkaniowym, inwestorem i deweloperem, współwłaścicielem Eko Inwestycje.

- W strategii rządu, strategii Lewicy, która miała tu kluczową rolę do odegrania, jeżeli chodzi o tworzenie programu rządowego, zmieniliśmy postrzeganie mieszkań społecznych - mówił wiceminister Lewandowski. - Do tej pory, przez ostatnie trzydzieści pięć lat, te mieszkania przez samorządy były postrzegane jako taki instrument tylko i wyłącznie polityki socjalnej. Cytując większość samorządowców, te mieszkania były dla osób, które znalazły się na zakręcie życia. Nie chcę brzydkich słów używać, które się pojawiają w trakcie różnych dyskusji i są stygmatyzujące, ale właśnie tak postrzegano mieszkaniówkę. Jeżeli w przekonaniu samorządowców te mieszkania były dla osób w trudnej sytuacji, także różnych uzależnień, różnych problemów, to w ich percepcji te mieszkania zawsze będą problemem. My zmieniliśmy to postrzeganie mieszkań. Chcemy, żeby samorządy postrzegały mieszkalnictwo i mieszkania nowe, remontowane jako swego rodzaju wehikuł rozwoju lokalnych społeczności, jako świetne narzędzie prowadzenia polityki walki z depopulacją, polityki otwartej na ludzi, którzy chcą mieć wybór, których nawet stać

na mieszkanie, ale niekoniecznie chcą zaciągania kredytu na trzydzieści lat, lecz wolą najem na dostępnych zasadach - wyjaśniał Tomasz Lewandowski.

Poseł Andrzej Szejna przyznał, że niektóre samorządy niechętnie sięgają po środki na cele mieszkaniowe. - Udzielimy wsparcia, by po te środki sięgnąć. Nie ma projektów, nie będzie mieszkań. Więc naszym celem dzisiaj i tego spotkania jest rozpoczęcie szeroko zakrojonej wspólnej akcji informacyjnej i wsparcia po to, aby te projekty inwestycyjne przygotować - zapowiedział poseł Andrzej Szejna.

- Rząd Donalda Tuska, którego Lewica jest bardzo ważnym elementem, będzie pierwszą po dziewięćdziesiątym roku w III Rzeczypospolitej ekipą rządową, która zamiast wstydliwie odwracać wzrok, gdy wyborcy pytają o mieszkanie i politykę mieszkaniową, będzie mogła z dumą powiedzieć, że przedstawiła najbardziej kompleksową strategię rozwoju mieszkalnictwa w całym ostatnim trzydziestolecu. Przygotowaliśmy komplet ustaw, które w sposób kompleksowy regulują cały rynek mieszkaniowy, porządkują go na nowo, prze-definiują cele polityki mieszkaniowej i cele publicznej polityki mieszkaniowej - wyjaśniał poseł Szejna.

Projekt, który powstał w Ministerstwie Rozwoju, a nad którym pracowali politycy Lewicy, zabezpieczył w perspektywie do roku 2030 budżet na poziomie czterdziestu miliardów złotych. - To jest naprawdę zmiana absolutnie jakościowa. Tylko w przyszłym roku na program bezzwrotnych grantów, taki podstawowy program rozwoju budownictwa komunalnego, społecznego, wydamy ponad cztery miliardy złotych - zdradził poseł.

Nowa Energia Regionalne Forum Ekonomiczne Kielce to ogólnopolskie wydarzenie prezentujące wszystko to, co będzie zmieniało nasze życie w najbliższych latach. W tym roku patronat nad wydarzeniem przyjęły: Ministerstwo Obrony Narodowej, Ministerstwo Cyfryzacji, Ministerstwo Infrastruktury, Ministerstwo Energii, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Współorganizatorem wydarzenia jest Urząd Marszałkowski Województwa Świętokrzyskiego.

INWESTYCJE ZBUDOWANY Z BUDŻETU OBYWATELSKIEGO PLAC ZABAW WYWOŁAŁ OBURZENIE MIESZKAŃCÓW

Pół miliona za „naturalny” plac zabaw. Mieszkańcy Bródna rozczarowani

Kamil Jabłczyński
Warszawa

W Parku Bródnowskim zrealizowano naturalny plac zabaw. Mieszkańcy nie mogą się nadziwić, że realizacja kosztowała pół miliona złotych, a miejsce pozostawia wiele do życzenia.

Przypomnijmy, że realizacja placu zabaw została podjęta w ramach zwycięskiego projektu z Budżetu Obywatelskiego „Nowe nasadzenia w Parku Wiecha oraz w Parku Bródnowskim wraz z nowym placem zabaw”. Jak czytamy w projekcie: wykonanie naturalnego placu zabaw na terenie Parku Bródnowskiego wraz z naturalnym ogrodzeniem z żywopłotu oraz montażem elementów małej architektury (m.in. ławki, kosze na śmieci) oraz kosztem oznakowania projektu - 500 000 zł.

- Realizacja projektu sprawi, że teren Parku Bródnowskiego oraz Parku Wiecha stanie się atrakcyjniejszy dla mieszkańców. Naturalny plac zabaw umożliwi korzystającym bezpośredni kontakt



Plac zabaw na Bródnie miał zawierać wszystkie elementy typowe dla tego miejsca: bujaczki, ślizgawki, itp. Zamiast tego pojawiło się kilka głazów i wydrążonych pniów

z przyrodą poprzez zabawę. Wybudowanie placu zabaw da możliwość aktywnego spędzenia wolnego czasu i rozwoju ruchowego dzieci i młodzieży - zachęca opis „skutków realizacji projektu”

Plac zabaw zrealizowano, ale chyba nie tego spodziewali się mieszkańcy. Kila głazów, cztery wydrążone pnie drzew, kilka konarów i krótka drewniana ścieżka z wbitych pni. Jest zapowiadany zjazd li-

nowy (chyba prezentujący się najlepiej z całego placu) i „most wiszący” - ale również malutkich rozmiarów.

Część osób w swoich komentarzach pisze, że to realizacja inwestycji wybiegu dla

psów, ale nic bardziej mylnego. W potencjalnych odbiorcach projektu wpisano: dzieci, młodzież, dorosłych, seniorów i osoby z niepełnosprawnością. Zresztą w zwycięskim projekcie z Budżetu Obywatelskiego jako wzór do realizacji przedstawiono realizację, wyglądającą jako pełnoprawny - choć wykonany z drewna - plac zabaw dla dzieci ze ślizgawkami, bujaczkami itp.

Patrząc na rozmiary tej inwestycji, trudno uwierzyć w jej koszt, o czym świadczą też komentarze pod postem informującym, że rozpoczęły się odbiory przed udostępnieniem miejsca. Kilka przykładowych wpisów: „Zaraz... To już koniec?”, „Wybieg dla psów...?”, „Jeszcze ciekawa jestem, czy to wykonawcy tego „eko” placu zabaw rozjeżdżali białym samochodem transportowym nasz park?”, „Bo projektować to trzeba umieć...”, „Ja bym tylko chciał wiedzieć jako mieszkaniec Warszawy...ile taki wybieg dla ps... tj. plac zabaw kosztował?”, „Chcieli być fajni jak na Bielanach, ale nie pykło”.

Jak mówi nasz reporter, nawierzchnia niemal uniemożliwia korzystanie z placu zabaw po deszczu lub przy roztopach, ponieważ robi się muł i bagno. Z kolei do wydrążonych pni drzew może zmieścić się maksymalnie 2-3-letnie dziecko. Nie widać też zapowiadanego naturalnego ogrodzenia z żywopłotu.

We wtorek zapytaliśmy dzielnicę: jaki był ostateczny koszt inwestycji (w stosunku do planowanego 500 tys. z Budżetu Obywatelskiego), o koszty poszczególnych elementów placu zabaw, koszty wykonawcy oraz czy ostatecznie pojawi się ogrodzenie z naturalnego żywopłotu. Do czasu publikacji artykułu, nie otrzymaliśmy odpowiedzi na te pytania.

Z roku na rok spada liczba głosujących na projekty w Budżecie Obywatelskim. Taka realizacja raczej nie zachęci nowych osób do popierania zgłaszanych projektów. Przydałaby się także pełna przejrzystość, co pochłonęło pół miliona, bo mieszkańcy realizację są raczej rozczarowani.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kosiński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Nowy Modlin, tel. 604 630 556

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALOWANIE, panele, 783-768-050

Różne

SKUP KSIĄŻEK, 668-571-329

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne, tel.: 501-642-492.

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ Ciągnik rolniczy C330, C360, Zetor MTZ i inne. 698282939

KUPIĘ ciągnik rolniczy URSUS, Zetor, MTZ i inne. 783964891

KUPIĘ ciągnik rolniczy Zetor, Ursus, MTZ, Farmtrac, New Holland, Case, T 25, C-360, C-360 3p, C-330, C-328 tel 603502876

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

Polecamy →



Strona Kuchni



Wszystkie smaki kuchni

stronakuchni.pl

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

W Ruce „żelazna szóstka” trenera Macieja Maciusiaka

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. W nadchodzący weekend odbędą się konkursy Pucharu Świata w fińskiej Ruce. Polacy wystąpią w tym samym składzie co w Lillehammer i Falun.

Trener kadry polskich skoczków Maciej Maciusiak po zakończeniu śródkowego konkursu w Falun ogłosił skład Białe-Czerwonych na zawody w Ruce. Na Rukatunturi HS 142 rywalizować będzie „żelazna szóstka”: Dawid Kubacki, Kamil Stoch, Kacper Tomasiak, Paweł Wąsek, Piotr Żyła i Aleksander Zniszczoł.

Zniszczoł dostał kolejną szansę

Nieoczekiwana może być obecność tego ostatniego, który mimo dwóch startów w Lillehammer i dwóch w Falun, nie zdobył nawet punktu. Mimo to sztab szkoleniowy kadry nie odesłał 31-latkę do Polski, a postanowił, by Zniszczoł w spokoju skupił się na trenin-gach i powrocie do formy.

W drugim konkursie na dużej skoczni w Falun w pierwszej serii Polacy wpisali się w dotychczasową średnią. Choć może nieco poniżej normy, bo wcześniej nasi zawodnicy bywali na półmetku w top 10.

Stoch i Tomasiak nie zawodzą

Najlepsze pierwsze skoki mieli Tomasiak i Stoch (odpowiednio 18. i 20. miejsce), znów nieco przed resztą naszej kadry. Dwóch kolejnych awansowało do drugiej serii z lokat pod koniec trzeciej dziesiątki -



FOT. EPA/PAP

W Falun najlepiej spośród Białe-Czerwonych spisał się najmłodszy, 18-letni skoczek Kacper Tomasiak

tym razem to Żyła i Kubacki (29. i 30.), a jeden odpadł (Wąsowski brakło niewiele, był 31.).

Drugie skoki Polaków statystycznie były lepsze i poprawiły się wyniki. Kubacki zanotował progres o 2 pozycje (na 28.), Żyła zachował 29. miejsce. Inni nasi zawodnicy skoki też mieli nawet bardzo dobre - o 4 „oczka” wyżej przesunął się Stoch na 16., o trzy Tomasiak - 15. Ten ostatni w Falun znów był najlepszy w naszej ekipie.

Niespodziewana zmiana lidera „generalki”

Zawody wygrał Słoweniec Anže Lanisek (który został też liderem Pucharu Świata)

przed Austriakiem Stephanem Embacherem oraz drugim Słowenem na podium Domenem Prevcm. Słabiej tym razem spisał się wtorkowy zwycięzca na skoczni normalnej w Falun Austriak Stefan Kraft, który zajął dopiero 9. miejsce, co kosztowało go utratę pozycji lidera klasyfikacji generalnej.

W „generalce” najwyżej z Białe-Czerwonych jest Stoch na 12. miejscu. Tomasiak zajmuje 15. pozycję, Kubacki jest 25., Żyła - 30., a Wąsek - 34.

W klasyfikacji Pucharu Narodów przewodzi zdecydowanie Austria przed Słowenią i Japonią. Polska zajmuje 5. miejsce za Niemcami.

Maciusiak obiecuje atak na „dziesiątkę”

- Wynikowo można powiedzieć, że średnio - ocenił śródkowy występ Polaków w Falun trener Maciusiak. - Ale byliśmy blisko tego, żeby w dzisiejszym konkursie, czyli na dużej skoczni, było pięciu zawodników (w finałowej trzydziestce). Pechowe 31. miejsce Pawła (Wąska). Ale wielkie gratulacje kolejny raz dla Kacpra Tomasiaka, który skacze swoje, mimo że tym razem ten pierwszy skok troszeczkę mniej udany, ale ogólnie na przyzwoitym poziomie. Piotrek (Żyła) zrobił mały postęp, jeśli chodzi o te skoki z rana. Dawid Kubacki myślę, że potrzebuje trochę więcej luzu, jak i cała reprezentacja. I kolejny dobry występ Kamila Stocha, chociaż na pewno stać go na skoki w pierwszej dziesiątce, co już udowodnił podczas niektórych prób, ale to jeszcze za mało. W Ruce zrobimy wszystko, żeby to zmienić, żeby było więcej tego luzu, żeby powalczyć również o czołową dziesiątkę. Jeśli chodzi o skład, również ze względów logistycznych, pozostaje ten sam - przyznał trener kadry.

Gdzie i o której oglądać zawody w Ruce?

Dzisiaj zawodników czeka oficjalny trening (godzina 14.45) oraz kwalifikacje (17.15). W sobotę seria próbna odbędzie się o godzinie 14.00, a konkurs zaplanowano na 15.05. W niedzielę kwalifikacje odbędą się o godzinie 9.00, a pierwsza seria konkursowa rozpocznie się o 14.50. Transmisje przeprowadzi Eurosport, TVN (tylko z konkursów) i HBO Max. ©P

„Don Pietro” rozwinął skrzydła w Lidze Mistrzów i zachwycił Włochów

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. To był zdecydowanie wieczór (choć przegrany) Piotra Zielińskiego.

Gol pomocnika Interu Mediolan Piotra Zielińskiego z 54. minuty z Atletico Madryt był jego pierwszym w obecnym sezonie Ligi Mistrzów. Poprzednio rumuński trener Cristian Chivu nie dawał Polakowi aż tyle czasu na pokazanie umiejętności. W sumie, w elitarnych rozgrywkach UEFA, etatowy pomocnik reprezentacji Polski strzelił 8 goli.

31-letni rozgrywający w śródkowy wieczór na madryckim Wanda Metropolitano spisał się znakomicie, co znalazło odzwierciedlenie w wysokich ocenach i pochwałach po meczu. Choć został zdjęty już w 65. minucie z powodu problemów z udem, był zdecydowanie najlepszym piłkarzem na boisku. Portal SofaScore przyznał mu notę 7,6, a poza golem wyróżnił się także imponującą dokładno-

ścią podań - sięgającą aż 93 procent (37/40).

Calciomercato.it zauważył, że po przeciętnym początku w klubie „Zielek” wyrasta w takich meczach na generała środka pola i staje się pełnoprawnym, wartościowym zawodnikiem. Virgilio.it stwierdziło, że mimo ograniczonej liczby minut jest cennym elementem. „Przez godzinę świetnie wykonywał swoją robotę, a potem pojawił się w polu karnym w odpowiednim momencie - gol na 1:1 był świetny” - ocenił włoski Eurosport, przyznając mu ocenę 6,5.

Bramka Zielińskiego na nic się jednak zdała, bo Atletico w dolnym czasie gry przechryliło szalę na swoją stronę. Urugwajski obrońca Jose Maria Gimenez wyskoczył o głowę wyżej od rywala i precyzyjnym uderzeniem pokonał bramkarza Interu Mediolan Yanna Sommera.

Była to pierwsza porażka Interu w trwających rozgrywkach. Dotychczas, podobnie jak PSG i Arsenal, „Nerazzurri” mogli pochwalili się kompletem punktów. ©P



FOT. EPA/PAP

Rozgrywający Interu Piotr Zieliński w walce o piłkę z pomocnikiem Atletico, Conorem Gallagherem

Polscy koszykarze zaczynają „misję Katar” meczem z Austrią w Gdyni

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Reprezentacja Polski meczem z Austrią w Gdyni rozpoczyna dzisiaj o godz. 20.45 eliminacje mistrzostw świata 2027, które odbędą się w Katarze.

Selekcjoner reprezentacji Polski Igor Milicić wierzy w trzeci awans Białe-Czerwonych na mundial (w 1967 roku zajęli piąte miejsce, a w 2019 r. ósme).

- Emocje po ostatnim Euro-Baskiecie towarzyszyły mi jes-

zcze długo, przez wiele tygodni. Ale teraz nadszedł czas na to, aby zmierzyć się z kolejnym wyzwaniem. I znów są emocje, tyle że z innego powodu - na horyzoncie nowy cel, nowe marzenia. Zaczynamy „misję Katar” z wiarą, że Polska ponownie, po raz trzeci w historii, może wystąpić na mistrzostwach świata - mówi Milicić.

W kadrze doszło do kilku zmian w porównaniu do składu, który rywalizował na EuroBaskiecie w Katowicach i Rydze. - Zespół jest w innym kształcie niż dotychczas, ale to

naturalna kolej rzeczy. Pojawiają się nowe twarze; gracze, którzy latem nie byli w kadrze, swoimi ostatnimi ligowymi występami zasłużyli na powołanie. Normalna rzecz. Jestem pewien, że mamy odpowiedni balans między graczami, którzy stanowią o sile tej kadry i znają ją od podszewki, a nowymi postaciami lub zawodnikami powracającymi. W każdego w nich wierzę i liczę na maksymalną koncentrację - dodaje selekcjoner.

Z powodu problemów zdrowotnych w kadrze na dzisiejszy

mecz z Austrią zabraknie Aleksandra Balcerowskiego, Jakuba Urbaniaka i Andrzeja Pluty. W związku z grą w Euroli-dze nieobecny będzie Jordan Loyd.

Austria, która nigdy nie uczestniczyła w mistrzostwach świata, będzie pierwszym rywalem Polski w grupie F. Podobnie jak poniedziałkowy przeciwnik Białe-Czerwonych, Holandia, Austria trafiła do grupy eliminacji z prekwifikacji. Holendrzy byli najlepsi w grupie (bilans 3-1), a Austriacy zajęli drugie miejsce (2-

2). Czwartą drużyną w grupie F jest Łotwa - piąty zespół mistrzostw świata 2023.

Bilans spotkań z Austrią jest korzystny dla Polski (5-1). Mecz z Austrią pokaże TVP Sport.

Drużyny europejskie - 32 uczestników (w tym ośmiu z prekwifikacji) - rywalizują w ośmiu czterozespołowych grupach w kwalifikacjach mistrzostw świata 2027. Walka o 12 miejsc na mundial w Katarze (27 sierpnia-12 września 2027 r.) jest dwuetapowa.

Pierwsza faza trwa od listopada i zakończy się w lipcu 2026 roku.

Awans do drugiego etapu wywalczą po trzy najlepsze zespoły, które stworzą nowe cztery grupy, krzyżując się z rywalami według klucza: A i B (gr. I), C i D (gr. J), E i F (gr. K), G i H (gr. L). Potencjalni rywale Białe-Czerwonych w drugim etapie to zespoły z grupy E, w której znalazły się: Niemcy, Izrael, Cypr i zwycięzca prekwifikacji z grupy D. W tym etapie walka potrwa od sierpnia 2026 do marca 2027 r. Awans do mistrzostw świata wywalczą po trzy najlepsze zespoły z czterech grup z II etapu. ©P

poetycko o Książycu	matka z Kalkuty	operator radiolo- katora	udział w potań- ców- kacha	tajniki sztuki trudny wybór	uro- czyste przy- jęcie	Egon, szef fil- mowego gangu	ustalenie wartości ciąg zdarzeń	budowa skorupy ziem- skiej	wykaz namasz- czenie biskupa	granica, pułap	ostre łuki szosy	gaz bojowy uchwyt, rączka								
kuzyn bielaka							6	dawny kom- puter		groźny car Rosji										
		21		bór, knieja		osesek ssaka z kitą			utwór literacki bez wartości											
imię z opo- wiałań Schulza				polsko- grecka piosen- karka			ostry w lewo Tomasz, poeta		14	bogini tęczy gibon białoreki										
krój sukni				marka pojazdu		ubez- piecza wojsko			ażurowy domek na działce			9								
				liście piet- ruszki																
					kropla smutku			islamski du- chowny	rola, grunt	jedno u cyklopa	kry- jówka borsuka	atrybut kelnera								
					szaniec obronny	jadalnia na statku	4		przy- rząd optycz- ny											
pus- tynnny orszak	żona Rem- brandta		łączy ja- mę ustną z prze- tykiem	częstka materii			część dzielnicy Wawer													
na palcu hrabiego		5				Ludwik Jerzy, poeta		roślina ozdob- na, adonis			dwa- naście tuzinów	szwedzki kwartet wokalny	zba- czanie statku z kursu							
Noriaki, narciarz z Japonii				kwiatostan zboż grecki ser			kraj z Bag- dadem		węgier- ska zupa											
wydzie- lony obszar, zona					tworzą czę- stokół		8	placik na święto paschy	20	hałas, krzyk										
			3	grecki Mars	muzeum w Zako- panem	AUTOPROMOCJA 0110987243				sta- wiany z kart	zew, wez- wanie	chiński złoty	gaz szła- chetny							
						POLSKA HETROPOLIA WARSZAWSKA w prenumeracie z Tele Magazynem 22 230 20 38 TELEMAGAZYN STYLIZACJE WYNIKACH TWÓRZA SZYMONA ZALANDO PLUS VOD														
dawne państwo semickie		zakrywa dziurę dolina erozyjna								spirytus drzewny	ojczyzna Edypa	ziemia uprawna	honoro- wa lub masoń- ska							
			19																	
sposób dziedzic- zenia	dawny statek rzeczny	... John, piosen- karz		przed kredą																
zbrojna napaść		klient ZUS		krok do kariery	owoc jak kolor															
chorob- liwy sen																				
wyrób z Tuły																				
Rośka, piosen- karka					narząd powo- nienia	unikaj ryzyka	naciek w jaskini	bagnisty lub uprawny zdanie pozornie prawdziwe	budowla wodna 10 kwintali											
Adolf, aktor z filmu „Skarb”	zużyty sprzęt woj- skowy		opieka, kura- tela		opera Leonca- valla		12	imperty- nencja, zuch- wałość		11	główne wymia- ry maszyny									
rzeka w Hadesie				17		imię Bem wyspy koralowe		wersja Seata			naj- większy stan w USA	7	napój w kartonie	baro- kowy chłopiec						
					forma- cja pił- karska			Sophia, włoska aktorka												
wycisza dźwięk		dzień + noc	1	wczesna pora dnia	drzewo iglaste spietrza rzekę		2		Stern lub France				wyścig w trudnym teren	znak zodiaku	bałowa w pałacu					
								zółw lub kro- kodyl			zbiornik na paliwo	prawy dopływ Odry								
niania					może być fałszywy			lewy dopływ Warty				ośmie- sza ludzkie wady								
					prawy dopływ Renu		18	kawa zbożowa		16	głos króla sa- wanny		syn Adama i Ewy							
matka Apollina						egipski bóg Księ- życa		wydrzyk wielki			Czarny Konty- nent									
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą rozwiązanie – przysłowie niemieckie.

ROZWIĄZANIE: CUDZY BOL NIE SIĘGA SERCA.